

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 17 SIERPNI 1929 ROKU

NR. 33

TREŚĆ NUMERU: Konieczność pracy zarobkowej dla kobiet — *Janina Strzelecka*. Psychologja rodzaju, a praca zawodowa — *Jan Belcikowski*. Poezje: „Prośba“ — *Hanna Mortkowiczówna*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Sztuka pisanja listów miłosnych (dokończenie) — *S. Borowska*. Malarstwo polskie drugiej połowy w. XIX — *L. Z życia ekranu* — *Stef. H.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Przemysł i sztuka ludowa na P.W.K. i jej zastosowanie — *Jankowska-Oryńczyna*. Najważniejszy sport — *Inż. Stefan Brykczyński*. Uprawa truskawek — *Z. Wróblewska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Dla pań cokolwiek tęższych — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi.“ — *R. Hichens*. Tablica kroju.

KONIECZNOŚĆ PRACY ZAROBKOWEJ DLA KOBIET

Świeżo wydaną książkę Narcyzy Żmichowskiej: „Czy to powieść“ poprzedza wstęp, w którym Boy-Żeleński, główny i zasłużony sprawca nowego nakładu tej naprawdę znakomitej powieści, zamieszcza szereg listów, pisanych przez autorkę „Poganki“ do serdecznej swej przyjaciółki, Wandy Grabowskiej, późniejszej pani Żeleńskiej, matki Boy'a.

W jednym z tych listów „Gabrjela“ mówi, że gdy kobieta zacznie pracować i zarabiać, wtedy dopiero można będzie mówić o jej wyzwoleniu i o równouprawnieniu. W tem, co Żmichowska mówi na temat pracy i znaczenia pieniądza, uderza przede wszystkim arcynowoczesność jej poglądów, jakieś, powiedziałabym, amerykańskie ujęcie sprawy. Bez pracy niema życia, za pracę trzeba płacić; pieniądz zatem, zdobyty przez pracę, jest dowodem, że ten, kto go zdobywa — pracuje. Należy, oczywiście, podkreślić ściśle znaczenie pojęcia „zdobywa“. Upadają wtedy ewentualne kontr-argumenty o wygranych, o sukcesjach etc

A właśnie od niepamiętnych do niedawnych czasów tak było, że mężczyzna pracował i tylko on zdobywał pieniądze, jako ekwiwalent tej pracy, naturalnie niezawsze odpowiedni do jej wartości, a to zależnie od tysiąca i jednej przyczyn; zaś kobieta (z wyjątkiem owych 10 tysięcy od góry) też pracowała od niepamiętnych czasów, ale praca ta za pracę uważaną nie była, ani w ekonomicznem, ani nawet w formalnem tego słowa znaczeniu; choć wiemy wszyscy aż nadto dobrze, że praca ta była — w innej, oczywiście, płaszczyźnie — tak samo niezbędna i pod względem gospodarczym równoważnościowa, jak praca mężczyzny.

Powiedziałam: „wiemy wszyscy“. To wielka

nieścisłość. Wiemy o tem wszystkie, my, kobiety — mężczyźni bowiem naogół, zwłaszcza ze sfer inteligenckich, uważają, że żony ich mają „święte życie“, nie pracując poza domem.

O powierzchownej i zgoła... męskiej logice tego poglądu mówić nawet nie warto; wypada natomiast rozpatrzeć stosunek do domowej pracy kobiety chłopca, robotnika i t. d. W tych warstwach przy zawieraniu małżeństwa bierze się przedewszystkiem pod uwagę „robotność“, w sensie zdolności gospodarowania przyszłej towarzyszki, i owo typowe powiedzenie „babska robota“ wcale nie oznacza jakiejś nazwy pogardliwej, ale wyraża raczej ściśle rozgraniczenie funkcij obojga małżonków.

Myślę, że to jest właśnie ludzka, a nie jednostronnie... męska logika. I przyznam się, że wolę taki realny, uczciwy stosunek, aniżeli maximum romantyzmu na początku, a potem degradacja bóstwa do roli pierwszej służącej, która, oczywiście, „nie umie oszczędzać“, „na niczem się nie zna“, „nie rozumie, co to znaczy pieniądz i praca“ — i tak bez końca.

Myślę, że nie przesadzam, utrzymując, iż tego rodzaju lekceważący stosunek jest na porządku dziennym, chyba że ci-devant bóstwo ma swoje pieniądze, w sensie jakiegoś coraz bardziej rzadkiego posagu, czy jakąś rentę miesięczną, zapewnioną przez rodziców.

Jeżeli nie — biada! Ile to „kawałów“, anegdot, będących treścią wszystkich „kącików humorystycznych“, ile złośliwości i pseudo-dowcipów fabrykuje się ciągle na temat nowego kapelusza, czy palta żony! Na ileż sposobów, podstępów, fałszów, oszukiwań bierze się ona, aby jakoś wykombinować

ten kapelusz; ach, i wydobyć pieniądze na komorne, na wpis, i na sto innych rzeczy! ile wysiłku i machiawelowskich sztuczek takie paltro kosztuje!

I znowu twierdzę, że nie przesadzam, przedstawiając w ten sposób owe fragmenty rajy małżeńskiego.

Zbyt często, niestety, jestem świadkiem, a raczej czemś w rodzaju konfesjonału wielu bardzo kobiet, które wyplakują przedemną te wszystkie żalonne historie, dające się podciągnąć pod jedną wspólną nazwę: „od pierwszego do pierwszego każdego miesiąca“. Słuchając niekiedy tych życiowych... nowel, naprawdę załamuję ręce nad niedolą kobiety, będącej na łasce męża. Ta łaska przecież w ostatnich czasach coraz częściej na pstrym koniu jeździ.

O ile dawniej małżeństwo było naprawdę instytucją, o ile dawniej przy całym, nawet i częstym piekle domowego pożycia mężczyzna zdawał sobie sprawę z ważności obowiązków, jakie brał na siebie, zakładając tę rodzinę — to dzisiaj przecież wszystko się zmieniło. Rozwodzą się ludzie nietylko po dwu i trzech latach pożycia (co jest częstokroć lepsze), ale po dwudziestu i po dwudziestu pięciu; rozwodzą się ludzie, żyjący ze sobą względnie dobrze, jest to fakt coraz częstszy do zanotowania; a jeżeli mężczyzna „dziękuje kobiecie za służbę“, to co wtedy? O ile jest gentlemanem i zabezpiecza jej byt w miarę możliwości, to, życiowo przynajmniej rzecz biorąc, jest jako tako, ale w przeciwnym wypadku sprawa przedstawia się znacznie gorzej.

I oto chciałoby się wołać wielkim głosem, że minęły czasy (zdaje się, bezpowrotnie), kiedy małżeństwo było dla kobiety gwarancją choćby tylko w sensie ostoi materialnej; minęły te czasy i raz jeszcze powtarzam, że biada kobiecie, która idzie do ołtarza, bogata jedynie w dobrą wiarę, zaufanie i miłość; biada i tej, co z wyrachowania tylko stan cywilny zmienia — Tutto passa...

Człowiek zmienia się tak często i tak bardzo, a przytem inny bywa na codzień, inny na niedzielę, a wszakże taką jedną, wielką niedzielą jest cały ten okres narzeczeństwa. I oto w krótkim niekiedy czasie ładna szata niedzielna królewicza z bajki zmienia się w brzydkie i szare, codzienne ubranie. Ten „ubóstwiany“ i ten, co ubóstwiał, jakież inny bywa na codzień!... Często małostkowy, skąpy, niedelikatny; często rozrzutny, hulaka, ale w stosunku do potrzeb domu — istny sknera.

A zresztą, wszystkie te argumenty są, według mnie, niczem wobec tego jednego, że o ile kobieta dorosła do zrozumienia, iż jest człowiekiem, o ile ma ambicję w tem dobrem, szlachetnym tego słowa znaczeniu — od tej chwili zdaje sobie sprawę, że mowy być nie może o „utrzymywaniu“ jej przez męża. Jeżeli ma pole do pracy w domu (dzisiejsza ogólna bieda zwęża to pole coraz bardziej), musi zagwarantować sobie część zarobków męża na swoje

potrzeby osobiste; oczywiście, w proporcjonalnym stosunku do jego zarobków i wydatków osobistych. W tym sensie powzięto nawet odpowiednią rezolucję na ostatnim zjeździe „Petite Entente des Femmes“ w Warszawie, w czerwcu.

Dodałabym do tego, że sprawy te winny być regulowane nie w drodze dobrowolnej umowy, ale właśnie intercyzą. Jeżeli młode pary umawiają się dzisiaj coraz częściej o to, aby przeszwarować jakąś niedokładność w metryce, czy akcie małżeństwa przy zawieraniu ślubu (cóż za degradingolada romantyzmu!), to chyba owa intercyza byłaby też zupełnie na miejscu.

A właśnie najlepsze wyjście z sytuacji — to przygotowanie zawodowe każdej kobiety, aby w ten sposób jedyny i względnie niezawodny umożliwić sobie niezależność materialną. To jest sprawa tak paląca, to rozwiązanie tylu fałszywych, męczących i jakże tragicznych niekiedy sytuacji, że doprawdy słów niema, aby jej ważność podkreślić dostatecznie.

Gdyby mi dano do wyboru, komu dać wykształcenie zawodowe, umożliwienie zarobkowania: synowi, czy córce — nie wahałabym się ani chwili. Mężczyzna daje sobie radę o wiele łatwiej; kobieta znajduje się bardzo często w sytuacji bez wyjścia.

Gdyby mój głos mógł dojść do wszystkich kobiet, wołałabym: wpajajcie w córki wasze to przeświadczenie, że tylko i wyłącznie na siebie liczyć należy!

Bardzo często słyszy się zdanie, że niepodobna pogodzić pracy zarobkowej z pracą domową, że wówczas jedno, albo drugie szwankuje. Stąd bardzo często i platoniczny wniosek, aby zrezygnować z pracy zawodowej na rzecz domowej. Jednocześnie wiemy aż nadto dobrze, że pensja mężczyzny nie wystarcza na wydatki częstokroć najkonieczniejsze, że drożyna rośnie, więc? Któż tu ma dopomóc? Zaprzęga się do ciężkiego jarzma pracy żona i tutaj spotykamy się z pewnym nonsensem, z krzywdzącą i jaskrawą niesprawiedliwością: odmawianiem posady kobiecie, której mąż pracuje; argumentacja jest wtedy utrzymana w duchu najciaśniejszego zacofaństwa, przypomina dziewiczy wieczór prababki i trąci jakąś tanią, rzekomą filantropją, w którą nikt zresztą nie wierzy.

Zdawałoby się, że czynnikiem, rozstrzygającym przy powierzaniu stanowiska, winno być wogóle czyjeś uzdolnienie, fachowość. Tymczasem dzieje się zupełnie inaczej. Pomijając już to, że zawsze i wszędzie olbrzymie pierwszeństwo ma mężczyzna, rozpanoszyła się wszechwładna protekcja i ta przemożna władczyni decyduje o wszystkim. Spotykamy się również z ciekawą rzeczą: oto, na przykład, jakiś pan prezes, dyrektor i t. d. ma niekiedy po kilka, a nawet kilkanaście płatnych stanowisk i nikomu na myśl nie przyjdzie gorszyć się, że oto jeden człowiek

ma tyle dochodów z tytułu sprawowanych zajęć, a ktoś inny należy do inteligencji bezrobotnej.

Inaczej jednak rzecz się przedstawia, jeżeli kobieta, której mąż ma wysokie, czy dobrze płatne stanowisko, również pracuje. Wtedy właśnie owa tania „filantropijność“, znajdując swój wyraz w oklepanym, fałszywym frazesie: „innym chleb odbiera“ — specjalnie na jaw występuje. Nikomu na myśl nie przyjdzie, jakie to względy skłaniają taką „bogatą“ panią do szukania pracy; nikomu na myśl nie przyjdzie, że nietylko, jak się to bezpodstawnie i gołosłownie przyjęło mówić, owa kobieta „na fatalaszki“ pracuje — ale na wiele bardzo niezbędnych rzeczy, na które dobrze sytuowany „świecznik społeczeństwa“ pieniędzy żałuje; bo jeden na kobiety, drugi na karty, inny na „oazy“, czy inne „savoy'e“ dużo bardzo pieniędzy potrzebuje.

I ostatecznie, co komu do tego, jeżeli kobieta ma wymagania, wykraczające poza zaspokojenie życzeń chleba powszedniego; co komu do tego, jeżeli pragnie zaspokoić swe potrzeby kulturalne, czy estetyczne? Pod tym względem jesteśmy wciąż jeszcze społeczeństwem ciasnym, nie dorosłem zupełnie do zrozumienia tej oczywistej prawdy, że prawdziwe piękno i estetyka życia, czy otoczenia w najszerszym tego słowa znaczeniu, stają się na Zachodzie koniecznością, rzeczą pierwszej potrzeby. I to się opłaca. Ale to już temat do oddzielnego artykułu.

Wracając jeszcze do kwestji owej pracy domowej, niepodobna zrozumieć znowu braku logiki u tych wszystkich, co tę pracę z gorliwością, godną lepszej sprawy, apostołują.

Jakto!? Tomy całe napisano już o organizacji gospodarstwa domowego, organizacji, mającej na celu całkowite zastąpienie pracy ręcznej pracą maszynową, a przynajmniej ułatwienie jej znaczne i zredukowanie do minimum; czyli, że wąski dziś zakres pracy domowej zwięźa się jeszcze bardziej. Cóż sami apostołowie nie żałują szat, rozrywając je nad brakiem żłobków, przedszkoli etc. Czyli, że ideałem jest, jak to zaznaczyłam w jednym z poprzed-

nich artykułów, odciążenie kobiety od tej szesnastogodzinnej, niekiedy dwudziestoczworgodzinnej pracy (czuwanie w nocy nad chorem dzieckiem).

Twierdzą, że wiele z nas wolałoby nie wstawać raniutko, nie śpieszyć do biura, czy do szkoły, ambulatorjum, czy fabryki; twierdzą, że wiele z nas wolałoby zająć się „domem“, dziećmi, pracą nad sobą, pogłębieniem wykształcenia i t. d.; ale tak, jak z uderzeniem straszliwej godziny wojennej miliony kobiet we wszystkich prawie krajach stanęły w zastępstwie mężów, synów, ojców i braci, co poszli na front — tak samo, gdy rozpoczęła się inna walka, walka, aby przetrwać długi okres odbudowy, musiały stanąć do pracy. Musiały stanąć do pracy i dlatego jeszcze, że do gruntu zmienione warunki współżycia, warunki natury moralnej, umożliwienie dostępu (teoretyczne) do wszystkich urzędów i stanowisk, że wszystko to przerwało nareszcie tysiące lat liczącą niewolę, rozprężyło świadomość własnej wartości i człowieczeństwa.

Pracujemy, bo musimy pracować, bo coraz więcej nas chce pracować; pracujemy, bo rozumiemy, że tylko przez równouprawnienie materialne — równouprawnienie prawne osiągnąć będziemy mogły.

Pracujemy, aby nie być nikomu ciężarem: rodzicom, mężowi, a w przyszłości — dzieciom. Pracujemy, bo poznajemy i rozumiemy coraz lepiej niedoskonałość i zmienność natury ludzkiej i właśnie dlatego nie chcemy zależeć od tych, którzy przy kolizjach natury pieniężnej tak często wpadają w kolizje ze wszystkim, co zwie się u nas: uczciwe, piękne i ludzkie w najlepszym tego słowa rozumieniu.

I ci, którzy nas potępiają, winni raczej szanować i rozumieć, że staramy się wykorzystać nasze święte prawo, do którego odnosimy się częstokroć o wiele sumienniej i uczciwiej, niż ci, co zbrojni w przewagę płci, z tego jedynie tytułu zgóry na naszą pracę spoglądają.

Janina Strzelecka

JAN BEŁCIKOWSKI

PSYCHOLOGJA RODZAJU, A PRACA ZAWODOWA

Po Havellock Ellis'ie, tym pierwszym, systematycznym badaczu psychologii rodzaju, zwłaszcza w zastosowaniu do klasyfikacji zawodu — studia w tym kierunku uległy jakgdyby przerwie.

A już zupełnie ta gałąź wiedzy została pomi-

nięta przez t. zw. naukową organizację pracy. Bądź co bądź, ani Instytut Naukowej Organizacji w Warszawie, ani Pracownie Psychotechniczne (państwowa, kolejowa), ani Poradnia Zawodowa dla dziewcząt T-stwa Służby Obywatelskiej, ani Patronat

dla młodzieży rzemieślniczej, jak mogliśmy to stwierdzić osobiście, nie zajmowały się psychotechniką porównawczą ze stanowiska zbiorowej duszy plei (charakteru i t. d.).

Ten stan rzeczy został spowodowany w pewnej mierze przez brak osobliwszej inicjatywy w tym kierunku oraz przez inne okoliczności.

A więc, jak już wspomnieliśmy w artykule poprzednim (patrz „Bluszcz“ Nr. 31), odgrywała tu rolę pierwszorzędną owa metodyczna tendencja myśli organizującej do zindywidualizowania (zatomizowania) masy robotniczej wogóle; powtóre, sprawę komplikowała wielce nieokreśloność, płynność (jeszcze i obecna) takich pojęć, jak: charakter, temperament, nawet intelekt (głupi stają się mądrymi, mądrzy — głupimi i t. p.); wreszcie, przyczyn tej bezrodzajowości badań psychotechnicznych mogliśmy się dopatrzeć w niemożności ustalenia dotychczas zdecydowanej klasyfikacji zawodów.

Proponowanych i stosowanych tych klasyfikacji mamy wiele, ale żadna z nich nie zdobyła sobie obowiązującego powszechnie uznania.

Tak np. popularny podział pracy na fizyczną i umysłową staje się podstawą podziału Julbert'a na prace, wymagające znacznej zatury sił fizycznych i prace, związane przeważnie z funkcjonowaniem centralnego systemu nerwowego. Taylor klasyfikuje zawody na monotonne i niemonotonne, Lipman — na: wyższe, średnie i niższe. Do najbardziej odpowiadających rzeczywistości zalicza dr. Macewicz *) klasyfikację Piotrkowskiego (kierownika instytutu psychotechnicznego w Berlinie) na zawody: nie wymagające specjalnych uzdolnień i na zawody specjalizowane. Ponadto są klasyfikacje zawodów: Kornilowa, Łazurskiego, Adlera, Baumgarten-Tramerowej i, uznana również przez dr. Macewicza, klasyfikacja Spilreina (Moskwa), oparta na cechach: reakcji, wyćwiczalności i uwagi.

Ale i w tych klasyfikacjach, jak i w innych, jeszcze pozostają poza nawiasem obserwacji takie np. cechy, jak: zaradność, obrotność, zwłaszcza w niebezpieczeństwach, odporność na pokusy (należałoby np. zbadać statystykę łapownictwa wśród kobiet i mężczyzn) i t. p.

Nie dziw więc, że uwaga psychotechników tak rzadko skierowuje się w stronę psychologii rodzaju, w jej zastosowaniu do tak pełnej jeszcze niejasności i omówień pracy zawodowej.

Tak np. na V-iej Międzynarodowej Konferencji Psychotechnicznej w Utrechcie, w r. 1928 (pod przewodnictwem F. Roels'a) na 61 tematów, zaledwie jeden był poświęcony omawianej przez nas tu obecnie kwestji, a mianowicie, referat wspomnianego już przez nas prof. Spilreina, p. t. „Badania porównawcze nad przydatnością zawodową mężczyzn i kobiet“. Z referatu tego dowiadujemy się, że w Moskwie, w roku 1927, poddano badaniom porównawczym dwie

grupy pracowników: pierwszą stanowili kandydaci na konduktorów tramwajowych, drugą była grupa metalowców.

Poddano doświadczeniom 100 konduktorów tramwajów elektrycznych, z tego 50 kobiet i 50 mężczyzn, w warunkach jednolitych i pod względem czasu pracy (niespełna rok) i wieku — od 18 do 45 lat. Wyniki zostały zszeregowane według t. zw. rang (reihe) na trzy stopnie: od 1% do 25% — „dobre“, 26 do 75% — „średnie“ i od 76 do 100% — „złe“.

Inteligencję ogólną badano według łatwego amerykańskiego zbioru testów t. zw. serji „Alfa“.

W wyniku badań nad uzdolnieniem specjalnem, technicznem, otrzymano następujące dane:

	dobrze	przeciętne	złe
Mężczyźni:	30%	50%	20%
Kobiety:	22%	48%	30%

Przeciętny czas reakcji:

Mężczyźni:	43%	39%	18%
Kobiety:	17%	63%	30%

Przedłużenie czasu reakcji przy nieoczekiwanych bodźcach, występujących rzadko.

Ze 150 reakcyj „z wyborem“ było błędnych:

Mężczyźni:	32%	43%	25%
Kobiety:	28%	46%	26%

Wynik ogólny:

Mężczyźni:	32%	48%	20%
Kobiety:	29%	41%	30%

U w a g a. Za najlepszy czas reakcji wzrokowej uznajemy 17/100 sek., za przeciętny — 20/100, zaś słuchowej — o 1.1¹/₂ setnej mniej.

Na podstawie powyższego referent wyprowadza wniosek, stwierdzający przydatność kobiet do pracy konduktorskiej. Dobrych, co prawda, konduktorów wśród kobiet było mniej, ale też mniej było i złych.

Do bardziej charakterystycznych wyników doprowadziło badanie drugiej grupy kandydatów: grupy metalowców. Przedewszystkiem z 452 praktykantów szkół zawodowych różnych gałęzi metalurgji (od lat 16 do 20) stanęło do badań zaledwie 49 dziewcząt obok 403 chłopców. Wyniki zostały tu zszeregowane według 5-ciu rang.

Oto ważniejsze z tych wyników:

Inteligenca ogólna:					
Mężczyźni	5,0%	19,0%	49,0%	20,0%	5,2%
Kobiety	0,0%	6,1%	55,0%	38,0%	0,0%
Inteligenca techniczna:					
Mężczyźni	5%	20,0%	49,0%	20,1%	5,2%
Kobiety	0,0%	2,0%	77,0%	20,4%	0,0%

*) „Psychotechnika“. Kwartalnik. Organ Polskiego T-stwa Psychotechnicznego. Warszawa, Nr. 4, r. 1927. Piotr Macewicz: „O klasyfikacji zawodów“.

Zmysł mięśniowy (szybkość ruchów):

Mężczyźni	7%	17,0%	53,0%	18,0%	4,7%
Kobiety	6,5%	16,1%	58,1%	12,9%	6,5%

Zręczność (gotowość ruchowa):

Mężczyźni	4,8%	20,1%	49,8%	19,7%	5,6%
Kobiety	0,0%	2,6%	92,3%	5,1%	0,0%

Z powyższego wynika, że młodzież żeńska ma mniej skłonności do krańcowości (b. dob. — 0, b. słabe — 0), ale najbardziej się zbliża do typu pracownika przeciętnego.

Zresztą należy tu uwzględnić możliwość gorszego przygotowania w szkołach zawodowych elementu żeńskiego (Cinquième Conférence Internationale de Psychotechnique. Comptes-Rendus, pages 282—85).

Poświęciliśmy nieco więcej miejsca tym danym Moskiewskiego Instytutu Psychotechnicznego dla wykazania, jak i ten jedyny referat reprezentacyjny (na Zjeździe Międzynarodowym) z dziedziny badań porównawczych nad przydatnością zawodową obu płci jest dalekim od tych zadań, których spełnienia oczekuje od naukowej organizacji świat przyszłości.

Oczekuje, mianowicie, wielkiej przemiany dusz, nowych pożądań, nowych marzeń, nowych kierunków myślenia i żąda, i domaga się, aby te wszystkie elementy uduchowily, opromieniły, uspołecznily

wysokie ongiś, omal nie jak kapłaństwo, pojęcie zawodu, jako zgodnej z powołaniem służby Bożej.

I — kto wie — może doczekamy się właśnie od kobiety wprowadzenia tych nowych elementów w życie pracy zawodowej, tego ducha nowego pracy w wielkim stylu, tego ducha, którego nie zdołały wcielić w życie ani socjalizm, ani demokracja, ani żadne rządy.

Zapowiedź tej psychotechniki nowego typu spotykamy już i w referatach dr. Niny Krakowskiej i u wspomnianego już dr. Macewicza.

Oto, co czytamy w jego znanej już nam rozprawie „O klasyfikacji zawodów“: „Wszak chodzi nie tylko o to, by drogą racjonalnego doboru — tem samem drogą najwłaściwszego wykorzystania uzdolnień indywidualnych — powiększyć wydajność pracy i jej jakość.

Chodzi o rzecz niezrównanie ważniejszą: o to, by każdemu można było wskazać rodzaj pracy, zadowalającej człowieka (powołanie) i odpowiedniej do jego sił, jak również — o ile istnieje możność rozpoznawania uzdolnień — dać każdej jednostce prawo do własnej zawodowej drogi w życiu, a społeczeństwu — prawo domagania się tej drogi od każdego i dla każdego“.

Nie jest to, jak zobaczymy, wszystko, jednak już wielki, siedmiomilowy krok naprzód.



HANNA MORTKOWICZÓWNA

PROŚBA

*Nie płoń gniewem i z żalu nie gaśnij,
Gdy tem słowem dotkniesz Cię zranie.
Tem bolesne jest nasze rozstanie,
Że już nic się przecież nie wyjaśni.*

*Że już nic Ci zwyczajnie nie poroziem,
Jak dobremu, rozumnemu bratu.
Trzeba krzyknąć w głos całemu światu
Żal, co ciąży sumieniu ołowiem.*

*Sen piekące zakleja powieki,
Chwast się pleni na uczucia grobie.
Mój najbliższy i bardzo daleki,
Nie miej żalu, że piszę o Tobie!*

*Nie pozwól myślom marzyć,
I nie daj sercu mdleć.
Wszystko się może zdarzyć,
Tylko nie trzeba chcieć!*

*Bo są niechętnie oczy,
I jest przypadek zły,
Bo wszystko się uroczy,
Gdy pierś przecuciem drży.*

*Chce wola przeznaczeń sprzeczną,
By los się szczęścia złąkł.
...I tylko miłość zbyt uczynna
Sama się garnie do rąk!*

HERMINJA NAGLEROWA

15)

ZAWALIDROGA

(powieść)

Franek włóczył się noga za nogą po odległych, dokądś wiodących drogach, gdy właśnie poprzez obszary błękitnego powietrza przedzierał się dzwonek południa. Wierzchowiec miał już wtedy swoją własną wolę i klusem pędził zpowrotem na folwark. Wiatr przesuwiał się po policzkach i szumiał w uszach. I mogłaby być radość z pędu, ze słońca, z pomieszanych barw, gdyby nie uparte i całemu światu niechętnie: — Poco tam wracać?

Pod wieczór konieczne były spotkania z Klimą. To ona właśnie dopominała się o te spacerunki, ona nadawała im jakieś znaczenie. Bo Franek mógł się ich łatwo i bez żalu wyrzec. Naco mu się teraz zdała przyjaźń Klimy, kiedy nie umiał z nią rozmawiać, jak z przyjacielem — o wszystkim! Klima wychodziła naprzeciw aż do mostku i bielila się w ciemności jasnym perkalikiem sukni. Szli obok siebie milcząc, byle tylko kroki sprzymierzyć jednakim rytmem.

Klima podnosiła swoje dobre oczy i czekała na pierwsze słowo. Więc rozpoczynała się rozmowa o byle czem, bo już sama czerń nocy, przepalana ognikiem papierosa, zmuszała do słów, bodaj szarych i monottonnych, ale wibrujących w żywym głosie. Czasem jednak łuk rozmowy napinał się i groził pęknięciem. Ale obawa przed milczeniem była — obawą przed ciemną nocą. Trzeba słyszeć ludzki głos, bo niewiadomo, co może szepnąć niewidoczna przestrzeń. Każde z nich niosło przecież zosobna swoje troski, przesiąknięty niemi był już sam oddech, oddawany właśnie tej nocy, niby najszczęsza spowiedź. Klima, nawykła do tajności swoich myśli, nawlekła, jak koraliki na sznurek, zwyczajne sprawy dzisiejsze i wczorajsze, albo skubała prostą mowę i, niby szarpie, przykładała do ran, których bólu mogła się domyślać.

Ale, idąc obok Franka i z całą gotowością oddając jego niewyjawionym troskom, jednocześnie wyobrażała sobie, że tak krok za krokiem odmierza swój czas, że krok po kroku odchodzi od dni, które może jeszcze nie są dość ciche i jeszcze nie dość zapomniane. Jak malutki kamyk w kołatce, grzechotała bowiem pragnienie, nazawsze już śmieszne w swoim nieprawdopodobieństwie. Bo przecież to ona sama po długich namysłach postanowiła, że nie może być inaczej, a czyjeś gorące i pełne pokuszeń słowa rozważała zbyt ściśle i na zbyt czulej wadze. Więc właśnie sama nie powinna teraz kruszyć na drobne grudki tej swojej silnej, kamiennej woli. Idąc tak i mówiąc o byle czem, wołałaby może raczej pła-

kać, że tak szaro wrosła w to życie, niby komuś koniecznie potrzebna, a wistocie zbyt uczynna każdemu.

Tak też było z tem opiekuństwem, które nieproszona ofiarowała Frankowi. Jakby mu tu matka wała, dobrze wiedząc, czem się gnębi. Ale często dostrzegała w tej swojej roli jakieś umyślne, przez los zwiłkane i aż nadto złośliwe intrygi. Bo poco właśnie sprzymierzała się z tym chłopcem, aby wspólnie i cichcem występować przeciw tamtym we dworzec? Nie stawało się przez to źle, ani jej, ani młodemu przyjacielowi, skoro nic nie wypowiadało się między nimi szczerem i wyraźnym słowem. Trzeba było mówić o sprawach, które były obce i żadnemu z nich nieprzydatne. Choćby o złej wodzie w studniach, o konieczności pomp, bo tyfus tu panuje w całej okolicy.

Ale, gdy już tak po wszystkich dyskursach o poezji współczesnej, czy jakiegokolwiek innej, zeszło się z wysokich parnasów, Franek jakby odczuł dopiero, że Klima jest naprawdę bliska i możnaby z nią porozmawiać poprostu, bez udawań z nadto górnych. Powinien się mocniej przygarnąć do jej przyjaźni i według praw przyjaźni żądać nawet przysług. Franek zapytał więc wprost o Hagę.

— Możesz mi to przecież powiedzieć!

I tu okazało się, że chyba już naprawdę skamieniała, bo nie odczuła w tej chwili nic i nawet się nie zdziwiła, że o to zapytał. Oczywiście, mogła mu dokładnie powiedzieć o Hali. Była przedtem nauczycielką w Jazłowcu. Na jej miejsce miała wtedy pójść Klima. Już chyba trzy lata jest tutaj i wszyscy się dziwią, że to tak długo trwa, bo dawniej zmieniały się kobiety w Kalińcach bardzo często.

Klima wypowiedziała to wszystko gładziutko, jak o czemś bardzo znanem i wcale nie nadzwyczajnem, ale te obojętne słowa paliły Franka, jak krople wrzącego miodu. Trzeba było jednak wytrzymać i tak samo obojętnie rozpytywać o wszystko, aby się dowiedzieć dokładnie, raz wreszcie dokładnie!

Klima nic złego nie mogła powiedzieć o Hali. Dobra, miła i zresztą należy dużo wyrozumieć, gdy w grę wchodzi miłość. Spokojnie, niczem pasjanse, wykładała teraz swoje filozofje życiowe. Wiedziała, jak takie sprawy wytłumaczyć, bo są naturalne, poprostu, jak powietrze, którem się oddycha. Ubocznie, dla siebie tylko, myślała, że można o takich rzeczach wiedzieć, choć się już jest „kamieniem“. Bo któż to potrafi odebrać pamięci wszystko i bez śladu? Zapewne, nie umiała oddychać powietrzem miłości, ale wie, że teraz zamiera bez tego tchu.

Franek nasłuchiwał uważnie i niemal uczył się tych rozumnych przypowieści o Hali i jej wielkiem uczuciu. Ale nakońcu zapytał niemądrze:

— A ja, a co ze mną?

Klima utknęła. Zrozumiała dobrze, o co szło Frankowi, a jednocześnie jakby nanowo odnalazła siebie, jeszcze żywą, i tem życiem — chorą. Musiała się więc długo namyślać nad odpowiedzią, żeby ją dobrze połączyć z tamtymi wyjaśnieniami. A potem tak samo, jak inni ludzie, obłudnie i przemądrze usiłowała odrazu uśmierzyć wzburzenie przyjaciela.

— Cóż na to poradzisz? Nie potrafisz przecież zmienić tego, co się stało, ani tego, co jest.

Franek odpowiedział schrypniętym głosem:

— To nie jest takie proste, Klima. I nie tak łatwe do zniesienia!

I to rozumiała dobrze i dlatego nie chciała już kłamać pocieszającymi słowami. Już i tak poprzez te wszystkie łagodzące pociechy przesiewało się własne pamiętanie i wzburzało te oczywiste prawdy życiowe. Nie można już było zaufać sobie! I dopiero wtedy milczenie stało się tak czarne, jak noc. Ciemność przywarła chłodnymi wargami do uszu i szeptała — szeptała — szeptała...

XVII.

Któregoś popołudnia, gdy rudo-czarny trzmiel pieścił aksamitną sierścią rozwichrzone głowy goźdźników, gdy oszalałe od spieki kury burzyły rozgrzaną ziemię, a cisza przed dworem mrużyła oczy do złotego snu — przyjechał wesoły pan Łuczański.

Podczerniony wąsik „ocieniał“ uśmiech sąsiedzkiej przyjaźni, a mocne uściski rąk upraszały odrazu o jakieś narzędzia gospodarskie, czy bodaj o korce żyta, których w przednówku nie stało na ordynarję. Lecz choć radosne chichoty gościa nie ukryły żalobnego celu odwiedzin, dobrze było, że gwar zmałcił ciszę, która o takiej poobiedniej godzinie niepokoila wszystkich tem, co tu nie chciało i nie powinno się było wypowiedzieć.

Salon rozklekotał się więc, jak młynek, bo Łuczański wpadał na każdy temat z wprawą wprost niedościgłą. Siwe oczy, objęte luźnymi torebkami powiek, smykały, jak myszy, lekko i laskotliwie od osoby do osoby. A jednak, ten nienawykły harmider zdawał się wszystkich zachwycać. Nawet Franek, wciągnięty do rozmowy, przemówił swoim naturalnym głosem. Łuczański zielonym krawatem przetańcowywał w stronę Franka i zapraszał do siebie, do Żarnówki. Nęcił córeczkami i patefonem, tenisem i innymi atrakcjami. Bez zastrzeżeń wielbił dzisiej-

szą młodzież, dzisiejszą rzeczywistość, dzisiejszy swobodny obyczaj. Tak dużo umiał o tem powiedzieć, że chyba nic go na świecie więcej nie zajmowało, jak właśnie ta nowa dzisiejszość.

Ojciec, przeświecony uprzejmością, godził się na wszystko i jakąś uwagą wzmacniał wywody gościa. Hala różowiła się pod tchnieniem komplementów, tak wymyślnych i tak subtelnych, że można je było odrazu drukować w salonowej powieści. Ochoczy gość popisywał się przez dobrą godzinę i nie opuszczał żadnej sposobności, by ucałować ręce Hali. Za „kawkę“, za „bułeczkę“, za „maselko“. Miało się wrażenie, że wszystko staje się drobniejsze i smaczniejsze właśnie dla pana Łuczańskiego. A nawet smutne relacje o gospodarskich niedomaganiach Żarnówki, nie zdołały zmałcić niczyjej wesołości. Nie miało bowiem sensu współczująco kiwać głową, skoro Łuczański wszystko smarował śmiechem i przysalał dowcipem.

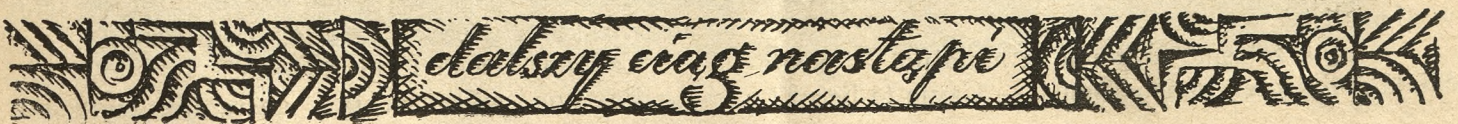
Łuczański dotarł wreszcie do fortepianu i, niby zaklinacz szczerów, pociągnął wszystkich ku śmiesznej i nieodpowiedniej w tej chwili ochocie tańca. Fotele odbiegły w bok, zrulowany dywan legł pod ścianą nakształt obalonej kolumny, a papa z Halą odtańczyli wiedeńskiego walca. Hala przyznawała się zresztą, że „szaleje za tańcem“, i w mieście zamieszkałaby chyba — w dancingu! Wtedy Franek solo objawił kunszt charlestona. Nie mogli się dość nadziwić zręczności stóp, przebierających płasko, z lekkim szurgotem po posadzce. Próbowali potem niezręcznie, czy potrafią taksamo. Franek, niby metr tańca, popisywał się, pouczał, raz śpieszniej dla własnej chwały, raz „au rallenti“, aby i inni pojęli. Wreszcie zatańczył z najpojętniejszą uczennicą — z Halą.

— Przecież to wcale nie trudno — cieszyła się. — Jeszcze ze dwa razy, a nauczę się tej sztuki.

Uśmiechała się prosto ku oczom Franka. Zaszumiało mu w uszach drobniutko, niby liście osiki, gorzki zapach kwiatu jabłoni wymknął się z trójkątnego wycięcia sukni, a zażyłość rąk wzruszyła niemal do łez. Żrenice tańczących zbratały się w jakichś znowach czułych i figlarnych. Trudno było uwierzyć, że kiedyś skończy się wspólny takt tańca i wtedy, niby ziarna kasztanów, rozpadnie się zawarte przymierze.

Nastąpiło to rychlej, niżby tego pragnęli tańczący. Bo Łuczański przerwał grę w połowie frazy i dopadł Franka, łopocąc uniesieniem, jak nietoperz skrzydłami.

— Talent w nogach, prawdziwy talent!



S. BOROWSKA

4)

SZTUKA PISANIA LISTÓW MIŁOSNYCH

(Humoreska na smutny temat)

Listy Edwarda były niepodobne do chmurnego, nudnego pana. Gryzelda uczuła wstyd, że poznaje oto najdelikatniejsze odruchy jego serca, a za chwilę, przy herbacie, spojrz na tego tkliwego trubadura, co gnębi cały dom posępnem milczeniem i kształci wolę...

Teraz dopiero rozumiała Gryzelda, że przez dwie godziny, w tym zacisznym buduarze pięknej kobiety działa się rzecz nie do pomyślenia, niedopuszczalna dla kulturalnych ludzi. Odsłaniano tu bezwstydnie, bez litości, najskrytsze, w dobrej wierze powierzone, tajniki ludzkich serc. Nie знаła Gryzelda przecież francuskiego generała, a wiadome jej były wszystkie, pełne miłości słowa, jakie mówił do ukochanej kobiety, do kobiety, która go nigdy nie mogła kochać; która nie pokryła nawet miłosierdnym milczeniem tych wyrazów gwałtownych, a pełnych czułości.

Przez moment jeden Gryzelda odwróciła rolę. Jej to listy czytają dwaj przyjaciele, listy, mówiące o najtajniejszych tęsknotach. Wzdrygnęła się. O ileż mniej upokarzającym byłoby obnażenie fizyczne...

Usiadła na kozetce. Śmiertelnie zimnymi oczami spojrzała na przyjaciółkę, tę przyjaciółkę, która tyle razy i tak pięknie, bez jakiegokolwiek ze swej strony zasługi, była kochana przez tylu mężczyzn.

Ewa wydobyła jeszcze jeden pakiecik, przewiązany lazuruwą wstążką. Ręce jej, tak lubione przez Gryzeldę, wydały się jej teraz złowieszcze w beztrojskiej nieodpowiedzialności za popełniane czyny.

Gryzelda powstała z szeslongu, podeszła do czytającej i usiadła naprzeciw niej. Słuchając jakichś żalonych skarg młodego porucznika od ułanów, który miał serce gorące a niezrozumiane, podniosła z ziemi pachnące sandałowem drzewem pudelko, postawiła je sobie na kolanach. Poprzez miłosne lamenty nieodwzajemnionej miłości, odczytywane przez Ewę, patrzyła na powiązane różnobarwnym jedwabiem i grzecznie obok siebie leżące paczki listów. Dotknęła delikatnie martwego papieru, przesunęła po nim palce ze współczuciem, wreszcie zaczęła listy przekładać machinalnie. Z odrobiną zdziwienia wyłowila ze spodu szkatułki jakąś cieniuchną paczuszkę, zawierającą najwyżej trzy lub cztery ćwiartki **papiera**. Nie zdobyła jej ładna wstążeczka. Koperty były związane po macoszemu prostą, czarną bawełną. Gryzelda wzięła ją w ręce.

Gdy Ewa skończyła czytać, podała jej trzymane w dłoni listy.

— Jak żałośnie wygląda ta mumijka — powiedziała z nieszczerym śmiechem... — Czyje to listy?

Ewa wyjęła szorstko i pośpiesznie pakiecik z rąk koleżanki i włożyła go bez słowa na dno szkatułki.

— Nie przeczytasz? — pytała obłudnie Gryzelda.

— Nie.

— Ale dlaczego, przecież czytałaś inne?

— Nie. Wiele wycierpiałam przez tego człowieka...

— Czy kochałaś go nareszcie? — wykrzyknęła z ulgą Gryzelda.

— Ach, nie, ani przez chwilę. On szalał za mną, ale to był dziwny człowiek. „Esprit burlesque“ i złośliwość iście małpia. Cynik.

— A dlaczegoż chowasz te listy?...

Ewa wybuchnęła śmiechem:

— Dość tej indagacji. Chowam, bo jestem kolekcjonerką przedewszystkiem. A także przez zemstę. Gryzłby palce ze złości, gdyby wiedział, że leży grzeczniutko w jednym wspólnym grobie, obok generała, poległych na wojnie legionistów i całej masy cywilów....

Wydobyła jeszcze jakąś paczkę i zabrała się do głośnego czytania. Ale Gryzelda już nie słuchała. Niedbale wsunęła rękę do trzymanej na kolanach szkatuły, podłożyła palce pod nagromadzone papiery, natrafiła na cienki pakiecik. Sprawdziła ostrzem paznogcia, że związany bawełną. Nie myślała, jak zdoła zatuszować chwilową kradzież, jak włoży listy kiedyś na właściwe miejsce. Musiała dowiedzieć się, dlaczego uszanowała je Ewunia, dlaczego nie czytywała ich głośno, choć traktowała po macoszemu.

Do pokoju wpadły z hałasem córeczki Ewy, opowiadając piąte przez dziesiąte, że podwieczorek na stole, że tatuś się gniewa, że przynieśli poziomki. Zanim Ewunia uwolniła się z ich ramion i sięgnęła po szkatułkę z sandałowego drzewa, listy, związane bawełną, tkwiły już w rękawie Gryzeldy — zwinięte w rulonik.

W domu pani Ewy kładziono się spać o dziesiątej wieczorem. Gryzelda oczekiwała z niecierpliwością tej chwili. Listy, listy! listy, których Ewa nie czytywała głośno, w które nie ubierała się, jak w toalecie od Hersego! Listy, które uszanowała...

Gryzelda zdjęła już suknię, przekreśliła klucz w drzwiach pokoju i w łóżku już, przy zapalanej świecy zaczęła rozwiązywać bawełnę, opasującą pakiecik.

Było ich cztery, jak cztery grzechy, wołające o pomstę... Pismo dość wyraźne. Podpis — nieczytelny. Zaledwie kilka wierszy na każdej stronicy.

Czytała: Droga Pani Ewuniu!...

Po tym wykrzykniku nastąpiło wyrażenie

zdumiewająco ordynarne. Gryzelda zachnęła się. Czyżby coś przekręciła? Nie, pismo dość wyraźne. Zbliżyła głowę do świecy. Wysiliła wzrok. Nie, napisano czarne na białem: całuję Ciebie...

— Warjat, warjat! — myśli Gryzelda i przeciera oczy. Cóż za pomysł groteskowy! Dalej list brzmi całkiem do rzeczy. Jakieś wiadomości bieżące, wyrazy serdecznej tęsknoty... I znów aluzja nie do powtórzenia, pochwała, wykluczona w towarzyskich stosunkach.

Gryzelda przeciera czoło.

— Koszmarny jegomość...

Czyta dalej i naraz wybucha niepohamowanym śmiechem...

List w rodzaju: trzy rzeczy od rzeczy, trzy rzeczy do rzeczy... Te, co „do rzeczy“, mają pewną ciągłość i sens; te „od rzeczy“ — wstawione jakby mechanicznie...

W ostatnim liście dopiero, który Gryzelda czyta

mężnie do końca, powiedzenie jedno, jak klucz do zagadki:

— Kazała Pani pisać, więc piszę... Ale przynajmniej moich listów nie przeczytasz nikomu...

Gryzelda oddycha z ulgą...

— Boże, Ewunia mówiła przecież „esprit burlesque...“, ależ pomysł...

Zastanawia się, jak Ewunia mogła zachować te listy. Bo że na żaden z nich nie odpisała, to wynika z treści tego, co powiedział „do rzeczy“...

Czy znał tak dobrze Ewunię, że nic nie ryzykował, platając jej tego niesmacznego figla?... Czy wiedział, że i tak nie zdobędzie jej nigdy, więc nic nie straci, paląc za sobą mosty?... Czy chciał zapisać się na zawsze niezatartymi, choćby ordynarnymi słowami w jej życiu?...

Gryzelda włożyła listy pod poduszkę, zgasiła świecę i jeszcze przez długą chwilę śmiała się z nieznanego amanta pięknej koleżanki.

Koniec.

MALARSTWO POLSKIE DRUGIEJ POŁOWY W. XIX

Każda wystawa retrospektywna może i powinna spełniać dwa zadania: pozwalać na objęcie w pewnym, wyraźnym, przejrzystym skrócie określonej epoki artystycznej, na przychwycenie jej niejako na gorącym uczynku z nowego, odrębnego punktu widzenia — i pomagać w ten sposób do wytworzenia się możliwie najbardziej syntetycznego, najbardziej wszechstronnego osądu; lub też powinna dostarczać

przyczynków do poznania indywidualnych osiągnięć twórczych, zapomnianych, nieznanych trudów i wysiłków jednostek.

„Wystawa malarstwa polskiego drugiej połowy XIX w.“ w Zachęcie spełnia poczęści — ale tylko poczęści — te postulaty. Zbyt mało może uwidacznia się celowość dokonanego wyboru, za słabo podkreślono — poprzez eksponowane dzieła — wzajemne stosunki, za-

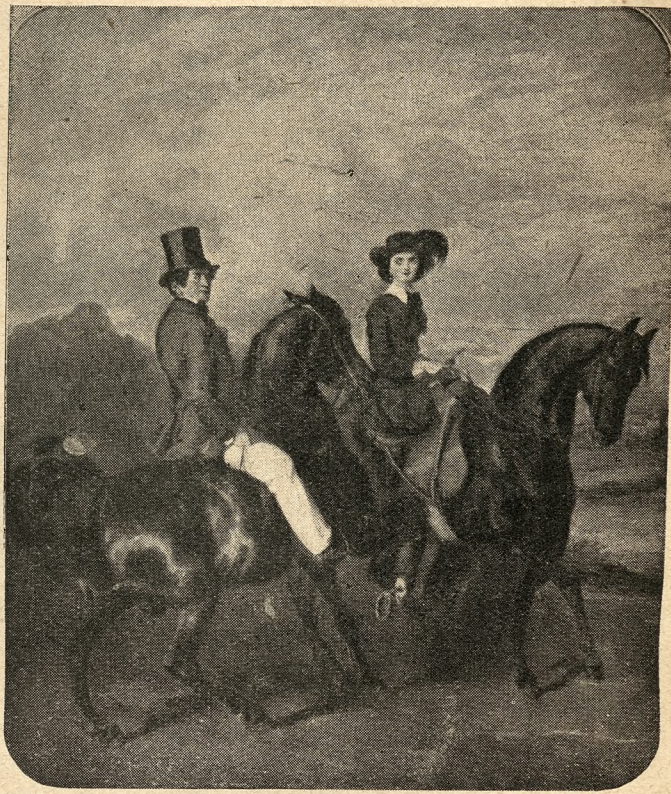


Michałowski: „Ponrót“.

chodzące ongiś między poszczególnymi kierunkami; niedostatecznie może uwzględniono twórczość jednego, drugiego i dziesiątego artysty, *proporcjonalnie* do ważności jego sztuki z naszego dzisiejszego punktu widzenia, do zasięgu jego wpływów. Ta pewna chaotyczność i przypadkowość przejawia się również w samej konstrukcji wystawy, w planie segregacyjnym obrazów, który nie opiera się ani na systemie chronologicznym, ani na wspólności kierunków. Prostu obrazy wiszą obok siebie, jak Bóg da — Chelmoński obok Kossaka, Matejko tuż przy Pałacie, — przyczem po większej części dzieła poszczególnych malarzy zostały rozproszone po wszystkich salach — i w kilku tylko wypadkach zgrupowane razem dają pełne odbicie danej twórczości. Stwarza to może pewien nieoczekiwany urok przypadkowego zestawienia, lecz z drugiej strony sprawia, że widz nieprzygotowany, laik w danym zakresie, zatracą się w chaosie, nie chwytają dostatecznie jasno linii wiążącej, łączącej ze sobą, złudzone bliskim sąsiedztwem na ścianie, zjawiska artystyczne, odległe w czasie — i wyrabia sobie w ten sposób błędny pogląd na oblicze artystyczne pewnego dłuższego okresu.

Lecz mimo te wszystkie niedociągnięcia — wystawę warto zobaczyć. Warto zobaczyć przede wszystkim ze względu na *jakość* poszczególnych dzieł — i ze względu na *miełość* właśnie dzieł wartościowych. I to jest główną zasługą organizatorów: że potrafili zebrać tak dużo rzeczy pierwszorzędnych.

Niezmiernie interesujące są przemiany, którym podlega nietylko sam rodzaj wypowiedzenia się artystycznego — ale przede wszystkim, normujący to wypowiedzenie się, *stosunek do świata*. Ciekawe są ewolucje, zachodzące w świadomości artysty, tak, zda-



J. Kossak (1856 r.): „Hr. Lubieński z córką”.

wałoby się, gatunkowo odmiennie od świadomości uczonego - filozofa tej samej epoki, a tak przecież z nią związanej. Jakaż niesłychanie mocna, naiwnie jednostronna, jest naprzykład *wiara w przedmiot*, istniejący obiektywnie — w tym XIX-tym wieku, a przynajmniej w pierwszej jego części! *Juljusz Kossak*, który umiera już w końcu ubiegłego wieku, lecz którego cała twórczość z charakteru swego należy do epoki wcześniejszej — jakżeż on wierzy, jakżeż on nie dopuszcza — jeśli tak wolno powiedzieć — wątpliwości o przedmiocie, który maluje!

Kossak maluje konie. Wszystko, co się z temi końmi w jego obrazach dzieje, co na nich — niejako — siedzi, ci wszyscy paradni, dobroduszni „Tatarowie“, i nieprawdopodobnie machające rękami, nieszczęsne „branki“ — to jest tylko pretekst — nadbudowa. Taka sobie, wymyślona naprędce historyjka, która usprawiedliwia istnienie tej jedynej realności kossakowskiej: konia. Ten koń zato, to jest wielkość absolutna, coś w sobie skończonego, coś, co się *widzi* (i jak cudownie widzi!), lecz o czym się jednocześnie *nie* abstrakcyjnie, obiektywnie — z niezłomną pewnością. Dlatego koń Kossaka jest wynikiem niejako każdorazowej, nieprawdopodobnie bystrej obserwacji — koń cienki i gruby, bułany i siwy, koń nieruchomy, koń skaczący, biegnący truchcikiem, szalejący we wspólnym pędzie — lecz z drugiej strony jest to pewien kształt idealny, syntetyczna forma, ześrodkowująca cechy końskie wogóle.

U *Chelmońskiego* już się ta pewność, ta wiara w przedmiot, istniejący obiektywnie — załamuje,



Aleksander Gierymski: „W altanie”.



Julian Fałat: „Na Polesiu“.

Jakże odmienny jest jego koń! To już nie jest tylko „byt sam w sobie“ — to jest jeszcze pozatem do pewnego stopnia funkcja przestrzeni, w której się porusza, światła, które go naświetla. Nowe prądy! Relatywizm wkracza w filozofję, a impresjonizm — który jest artystycznym odpowiednikiem relatywizmu — w malarstwo. Oczywiście, w malarstwie Chełmońskiego czuje się tylko dalekie echa tych burz zachodnich. Chełmoński, — jak zresztą prawie żaden z późniejszych nawet naszych rodzimych impresjonistów — nie zerwie nigdy z *przedmiotem, jako takim*. Głęboki, tak charakterystyczny dla całej naszej sztuki, sentyment dla otaczającego świata zwierząt i rzeczy, tłumiona częstokroć gwałtem, a tem gorętsza do niego miłość — nie pozwalają nigdy na owo zlekceważenie przedmiotu, na całkowite roztopienie go w barwie i „w atmosferze“, które stosują prawowierni impresjoniści francuscy np.

Na omawianej wystawie bodajże jeden tylko znajdzie się obraz tego typu — przesłiczny zresztą pejzaż *Podkowińskiego*. Na tle złoto - zielonej alei jakaś dama — i zaiste niewiadomo, co tutaj na co promieniuje, co się z czego wylania: kobieta jest funkcją rozslonecznionej przestrzeni, — czy odwrotnie? Jeden to może z najbardziej świetlistych, czystych w tonacji obrazów na tej wystawie.

Aleksander Gierymski, prekursor impresjonizmu na naszym gruncie, i pierwszy bodaj polski kolorysta na wielką miarę — reprezentowany jest dwoma zaledwie, niewielkimi obrazkami, przyczem jeden z nich — „Przystań“ — bodaj cały roztopiony w „brunatnym sosie“, należy do jego wcześniejszego, monachijskiego okresu. Drugi — to jeden z warjantów owej przesłicznej, rozslonecznionej „Altany“. Ciemna, masywna sylwetka księdza, wysunięta naprzód, podkreśla z niezwykłą siłą bolesny aż w swem pięknie kontrast rozświetlonego, drgającego poprostu białym tła. Pierwszorzędny obraz!

Również dość ubogo reprezentowane jest pełne dyskretne wdzięk, wykwentne w swej małomówności malarstwo brata Aleksandra, *Maksymiljana Gierymskiego*.

Radosne zato jest zetknięcie się z bardzo pożądanym na tej wystawie dorobkiem artystycznym dwóch mistrzowskich „łączników“ „między dawnymi i nowymi laty“, z owymi prawdziwymi „arkami przymierza“ dawnej i współczesnej sztuki, jakimi jest malarstwo *Fałata i Wyczółkowskiego*.

Fałat — mistrz akwareli i tych subtelnych przemian kolorystycznych, które z techniką akwarelową są związane, mistrz harmonij barwnych, powstałych poprzez rzucane sobie od niechcienia ułamki, atomy farby: „Wyczół“ — chluba polskiej grafiki, w swych pracach olejnych wiele lat temu stawia i rozwiązuje zagadnienia kolorystyczne i fakturowe, które nurtują współczesną sztukę Zachodu.

Ach, jakaż daleka droga, przebyta od owych dawnych, z tak niezłomną pewnością odtwarzanych ludzi i rzeczy! „Rybak“ *Wyczółkowskiego*, siedzący nad wodą, wylania się z przestrzeni, która go w obrazie otacza, jako z czegoś. w co się już niemal — kolorystycznie i pojęciowo zarazem — wtopił. Wylania się z niej jednak. A może jednak nie jest tylko funkcją przestrzeni? Może jednak — powróci, jako „byt samodzielny“?

Wyczółkowski, jak żaden może inny z malarzy, reprezentowanych na tej wystawie — buduje, istotnie wspaniale *konstruuje kolorystycznie* swój obraz, nie zatracając przy tem zupełnie formy. Jest jakiś pogański niemal, tak bardzo zresztą bliski sztuce dzisiejszej — sensualizm w jego fakturze malarskiej głębokiej, możnaby powiedzieć: tłustej, a tak zgodnej z właściwościami farby olejnej.

Pankierowicza pokazano nam jeden tylko zamglony, przesubtelniony most nad Sekwaną.

Pozatem, „asy“ naszego malarstwa ubiegłego wieku, reprezentowane raczej niepokaźnie. *Matejki* pokazano nam jakieś dwa, czy trzy szkice o niewielkim znaczeniu. Dla twórczości *Wyspiańskiego* istotny może być tylko jeden prześlizgnięty pastel „Macierzyństwo”. *Piotra Michałowskiego*, którego twórczość należy zresztą do wcześniejszego okresu, możemy podziwiać jedną, niedbałą, zdawałoby się, w swej lekkości, a mistrzowską akwarelę: chłopczyk z psem.

Bardzo obficie reprezentowany jest *Jacek Malczewski* — symboliczne, nastrojowe dzieła. Sporo znajdujemy również drobnych rozmiarami, ale pełnych finezji kolorystycznej i rysunkowej obrazów *Staniławskiego*.

Wystawa „krzepi ducha“ — nietylko przez swe nastawienie kierunkowe, ile dzięki nadspodziewanie dużej liczbie dzieł wielkiej miary. L.

Z ŻYCIA EKRANU

(*Twórzmy kinematografię polską! — Nowe źródło pracy dla kobiet*).

Martwy sezon! Napozór nie różni się niczem od podobnych sezonów z lat ubiegłych. Oglądamy w kinach trzygodzinne programy, złożone nieodzownie conajmniej z 20 aktów, z których 10 wypełniają poczciwi cowboje, traktowani w sezonie głównym, jako „gorszy rodzaj“ (często niesłusznie!), oraz wracamy, częstokroć z przyjemnością, do wznowień wybitnych starych filmów, które można zobaczyć też tylko w lecie. Wszystko tak, jak corocznie o tej porze. Ale jest to tylko pozorna cisza, pod którą kryją się przygotowania do... przewrotu.

Burza, szalejąca już nad Ameryką i Europą zachodnią, musi dojść i do nas. Świat filmowy przeżywa rewolucję. Nowi władcy rodzą się i dochodzą do głosu (dosłownie, gdyż mowa tu, oczywiście, o filmach dźwiękowych i mówionych), zaś starzy — nie są jeszcze tak słabi, żeby chcieć dobrowolnie odejść! Więc choć na niektórych odcinkach frontu, narazie przynajmniej, zwycięstwo jest po stronie rewolucjonistów (Ameryka), na innych (Europa) — film niemy ma wielkie szanse, jeżeli nie zwycięstwa, to conajmniej — przetrwania obok filmu mówionego i dźwiękowego. Pomijam w tej chwili stronę czysto artystyczną zagadnienia, podkreślając jedynie stronę techniczną, która zadecyduje ostatecznie o takim, lub innym jego rozwiązaniu.

Rywalizacja różnych systemów aparatów do rejestracji dźwięków, przystosowywanie się do nowych wymagań jednych „gwiazd“ (nauka dykcji i śpiewu), rezygnacja z sukcesów ekranowych — innych; niezwykła „haussa“ na talenty wokalne i „baissa“ na czystą fotogę; masowy wyjazd z Hollywood aktorów filmowych europejskich i również masowy import europejskich i wszelkich innych śpiewaków, recytatorów, piosenkarzy i t. p. — oto pierwsze echa zamętu, panującego w świecie filmowym Ameryki.

Cóż dopiero mówić o Europie, gdzie do wyżej wymienionych trudności przybywa jeszcze jedna, najbardziej zasadnicza: sprawa języka. Najcudowniejsza cecha filmu — jego międzynarodowość — zostaje rozbita. Hasło: „wszyscy dla wszystkich“ ustępuje miejsca hasłu: „każdy dla siebie“. Zamiast artystów różnych narodowości, tworzących i pracujących dla wszystkich ludów świata — zamknęciem się w ciasnym

kole ludzi, mówiących tym samym językiem. Nie chcę w tej chwili zastanawiać się nad tem, jak odbije się to na ideowych i artystycznych wartościach filmu; powrócę do tego innym razem. Dziś pragnę tylko zwrócić uwagę na to, jakie te granice językowe nasuwają trudności ekspansji filmu, jako wytworu przemysłu, wywołując zamęt w produkcji i jej zbycie.

A jak to wszystko odbije się na nas?

Bez wątpienia wzmogoną wytwórczością krajową. Wprawdzie już trzy kina warszawskie i niektóre prowincjonalne przygotowują instalacje do reprodukcji filmów dźwiękowych, ale czy filmy te, naturalnie o tekstach obcojęzycznych, będą mogły liczyć na szerokie masy widzów (raczej — słuchaczy) — jest rzeczą wątpliwą. Ta najszersza publiczność, zaspokoiwszy pierwszy głód sensacji, chętnie powróci do filmów niemych lub takich, których tekst będzie dla niej zrozumiały. To też chwila dla rozwoju polskiej kinematografji jest wprost wyjątkowo sprzyjająca.

Do polepszenia tej i tak szczęśliwej koniunktury przyczyniły się również niemało wysiłki Centralnego Biura Filmowego (przy Min. Spraw Wewn.), które opracowało tabelę stawek podatkowych (pobieranych przez magistrat od przedstawicieli kinematograficznych) w ten sposób, że filmy polskie są specjalnie uprzywilejowane, wobec czego będą bezwzględnie poszukiwane na naszym rynku.

Nie będę powtarzała tu rzeczy znanych o potężnej roli kinematografji, jako czynnika państwowego kulturalno-oświatowego i ekonomicznego. Pragnę tylko powitać z radością poczynania Centralnego Biura Filmowego, którego szef pułk Łuskino, będąc sam gorącym miłośnikiem i znawcą kina, daje gwarancję, że kinematografja polska znajdzie nareszcie należyta opiekę rządu, jak to się już dzieje w innych państwach.

Teraz więc tylko od prywatnej inicjatywy zależy stworzenie przemysłu, który może wkrótce przysporzyć krajowi wiele korzyści moralnych i materialnych. Niechaj tylko dziedzińca ta przyciągnie więcej ludzi o zdrowych instynktach kupieckich i szerszym poczuciu obywatelskim, zamiast — spryciarzy i „patryjotów“, którzy chcą się zбоgacić na wyciskaniu „narodowej lezki“ z oczu widzów o małym estetycznym wyrobieniu — filmografja polska będzie mogła niezadługo przestać być kopciuszką, wlokącym się na szarym końcu wytwórczości europejskiej.

Ostatnio przekonałem się, że mamy wśród nas niejednego człowieka zdolnego, który, przy sprzyjających warunkach, mógłby tworzyć rzeczy nieprzeciętne. Dajmy im te sprzyjające warunki i stwórzmy odpowiednią atmosferę pracy. Reżyserzy tacy, jak Gardan („Poliemajster Tagiejew“), Ford („Nad ranem“), H. Szaro („Przedwiośnie“), Lejtes („Huragan“), operatorzy, jak Gniazdowski, Steinwurcel, Wiślocki, Zawisławski, Vlassak i w. in. — są to ci, od których wiele należy oczekiwać.

Uprzywilejowanie podatkowe filmów polskich (naukowe, krajoznawcze, historyczne — do 5 proc.; artystyczne o wysokiej wartości — do 10 proc.; rozrywkowe od 10—20 proc.) powinno zachęcić filmowców do kręcenia obrazów o niewielkim metrażu, obrazów, które z jednej strony byłyby próbą sił młodych, niedoświadczonych twórców, z drugiej — może z czasem wyrugowałyby nadprogramowe amerykańskie farsy, które nam się już z kretelem przejadły. (W takim krótkim obrazie p. t. „Nad ranem“ odkryliśmy nieprzeciętny talent reżyserski — Aleksandra Forda). Należałoby też zająć się tworzeniem filmów kulturalno-oświatowych i krajoznawczych, będących u nas w całkowitem zaniedbaniu.

Na koniec — jeszcze jedno. Może teraz, kiedy kinematografja u nas przestaje być tylko fantazją szaleńców, zabawką snobów, ambicją grafomanów i ostatnią ucieczką ludzi wykołejonych, lecz staje się uczciwym zawodem, może teraz praca na tem polu zainteresuje więcej kobiety. Nietylko te, które marzą o karierze „gwiazdy filmowej“ i nie wyobrażają

sobie, że można pracować w kinematografii jeszcze i w innym charakterze. Na Zachodzie mamy kobiety-reżyserki, scenarzystki, dekoratorki, rysowniczkę kostjumów, laborantki-fotografki i t. p. Praca w tej dziedzinie ma tak dużą rozpiętość, że mogą znaleźć w niej zatrudnienie kobiety o najróżnorodniejszych uzdolnieniach.

M. J. Wielopolska („Głos Prawdy“ z dnia 14 lipca 1929) porusza sprawę dopuszczenia kobiet do sprawowania urzędu cenzorów filmowych, dowodząc słusznie, że w kwalifikowaniu filmów — zwłaszcza dla młodzieży — kobiety miałyby o wiele więcej wyczucia tego, co może lub nie powinno być pokazane, niż — mężczyźni. Równie odpowiednie byłyby kobiety na stanowiskach dyrektorek kin oświatowych i kin dla młodzieży. Liczne zastępy kobiet, poświęcających się fotografii, mogłyby wyspecjalizować się, jako operatorki filmowe. Wobec coraz większego zapotrzebowania na krajowe „aktualności“, przy wzmózonej produkcji filmów krajoznawczych — pracy na tem polu nigdy nie zabraknie. Żywsze zainteresowanie kobiet kinematografią napewno przyniesie pożytek obu stronom.

Stef. H.



TEATR NARODOWY

Wieczór uroczysty ku czci Wojciecha Bogusławskiego. Słowo wstępne Władysława Zawistowskiego. Prolog Adama Zagórskiego. „Ispahar“ — „Spazmy modne“ — „Duch sprzeciwieństwa“. Wiersz Or-Ota: „Bogusławski“.

Po ostatnim uroczystym przedstawieniu na cześć Bogusławskiego w teatrze Narodowym można było pozazdrościć „jubilatowi“, że od stu lat spoczywa w grobie i nie grozi mu niebezpieczeństwo zobaczenia swego „Ispahara“ w inscenizacji, która miała być wiernym odtworzeniem metod teatralnych z końca XVIII wieku.

Ten rzekomy a niewczesny historyzm formy zemścił się w sposób zgola barbarzyński nie tylko na nieszczęsnym twórcy zapomnianego melodramatu, ale na aktorach, którym kazano grać tak, jak może za czasów Bogusławskiego grali trzeciorzędni komedjanci w wędrownej budzie jarmarcznej, a dziś grają może dzieci w prowincjonalnej ochronce „Heroda i rzeź niewińniętek“.

Zdumiewającą, zaiste, jest megalomanja naszej epoki. Wyobrażamy sobie, że to my dopiero zdobyliśmy się na prawdziwy smak, że wszystko, co było przed nami, jest porwaniem się z motyką na słońce i, wychodząc z tego założenia, czcimy twórcę polskiego teatru, wtlaczając jego duchowe oblicze w maskę barbarzyńcy, kaboty i obskuranta.

Wiadomo, że Bogusławski, jako dramaturg, zaledwie dorastał miary przeciętności, ale miał wrodzony dar, raczej serca, niż umysłu, dar podbijania mas. Był genjuszem kontaktu z publicznością, wciągał ją w sam ośrodek akcji, zmuszał niejako do współdziałania, do współtworzenia; zatem osiągnął to, co dla teatru współczesnego jest dotychczas marzeniem świętej głowy.

I dlatego może ten teatr współczesny wobec Bogusławskiego okazał się bezsilnym. Nowobogacki nie rozumie hidalgę. Zamiast wskrzeszenia Bogusławskiego — dano ekshumację zwłok. Pogrzebano go poraz wtóry. Wszystkie patriotyczne aluzje „Ispaharu“, które w r. 1798 do głębi wstrząsać musiały słuchaczy, znikły bez śladu. Została tylko naiwność faktury, wydetą przez reżyserję do rozmiarów prostactwa.

Natomiast „Spazmy modne“ były stylizowane trafnie, zagrane z właściwą werwą, a bez szarży, i dały nam poznać Bogusławskiego z jego najlepszej strony, jako dowcipnego satyryka, chłoszczącego na wesoło grzechy swej epoki. Mieliśmy sposobność przyjrzeć się zbliska, jak wyglądała osławiona moralność prababek, ubrana w suknie z trenem i w trefione loki i wyprowadzić daleko idące wnioski na korzyść dzisiejszego młodego pokolenia.

Na „Duchu sprzeciwieństwa“ dokonano eksperymentu zmodernizowania, przerabiając przekład Bogusławskiego z Dufresny'ego zapomocą śpiewek, które w wykonaniu artystów, pozbawionych głosu, brzmiały, jak żalosna parodia operetki. Chaveau święciła tu całkowite triumfy, jako mistrzyni groteski, ale Bogusławski zapodział się gdzieś bez śladu.

W „Spazmach modnych“ wyróżniła się Gromnicka i Solarski. W „Ispaharze“ wszyscy artyści robili, co mogli, aby pokazać, jak grać nie należy. Trzy tuzy sceny Narodowej: Solski, Brydziński i Chmieliński — doskonałą dykcją w rozmowie duchów nie zdołali jednak rozproszyć tego mroku, jaki ogarnął świat cieniów w prologu.

Nad całym widowiskiem ciążyła ogórkowa fatalność.

S. P. O.



Teatr Mały: „Para nie para“ — Kaweckiego Janina Romanówna i Wł. Grabowski.

Kobieta w świecie i w domu

NOWY KURS POLICJI KOBIECEJ

Od 14 czerwca r. b. 52 kandydatki przechodzą kurs wykształcenia policji kobiecej w gmachu rządowym przy ul. Krochmalnej, gdzie mieszczą się i inne kursy policyjne. Znaczny procent słuchaczek kursu stanowią byłe legionistki, sporo jest urzędniczek policji państwowej, delegowanych przez urzędy wojewódzkie na kurs wykształcenia. Większość posiada wykształcenie 6-klasowe, mniejszość stanowią kandydatki z ukończoną szkołą powszechną, jest i pokaźny procent maturzystek. Wszystkie są zakoszarowane i podlegają obowiązującemu regulaminowi, nie różniącemu się prawie od regulaminu wojskowego. Rozkład dnia następujący: od 8-ej do 1-ej lub 2-ej wykłady, popołudniu mustra, ćwiczenia fizyczne i t. d., oraz przygotowanie się do wykładów.

Program obejmuje między innymi: prawo państwowe, prawo karne, kodeks postępowania karnego, socjologję, naukę o Polsce, administrację, organizację polityczną, służbę śledczą, medycynę sądową, ratownictwo i t. d., oraz niektóre przedmioty wojskowe, jak naukę o broni, regulamin i t. d. Jest to część ogólna kursu, po której nastąpi specjalna, obejmująca walkę z nieładem, walkę z handlem kobietami i dziećmi, opiekę społeczną i t. d. Kurs trwać będzie do połowy grudnia r. b. Wykłady prowadzą przeważnie oficerowie policji, specjaliści w danym dziale; pozatem dr. Librach wyklada kodeks postępowania karnego, dr. Biernacki — medycynę sądową i ratownictwo i t. d.

Dowódczynią kompanji szkolnej jest komendantka VI Brygady sanitarno-obyczajowej, aspirantka Stanisława Paleolog, chlubnie znana ze swej pracy ideowej, prowadzonej z zapalem i oddaniem się sprawie nieraz w bardzo uciążliwych i trudnych warunkach.

PANI KAROLOWA MARKSOWA.

W Londynie ukazała się świeżo na półkach księgarskich niezwykle ciekawa książka, poświęcona opisowi prywatnego życia Karola Marksa. Znany ten, o wszechświatowej sławie socjalista spędził 30 lat życia w stolicy nad Tamizą, pracując po całych dniach w British Muzeum nad rozwinięciem swych teoryj socjalistycznych, które osiągnęły największą popularność i wcieliły się w życie w Rosji współczesnej.

Charakterystycznym staje się fakt, że lwia część tej książki poświęcona jest nie Karolowi Marksowi, ale — jego żonie...

„A dark eyed beauty of superior birth“, ciemnooka piękność, pochodząca ze starej arystokratycznej rodziny, starannie wykształcona, niosła krzyż pański przy boku najnieznośniejszego męża pod słońcem, nie opuszczając go w żadnej niedoli i nieszczęściu.

Państwo Marksowie mieszkali w najnędzniejszej dzielnicy Londynu. — gdzie mieszczą się zazwyczaj niezamożni cudzoziemcy i artyści wszelkiej branży. W domu ich gościła ustawiczna bieda, dzięki mizernym zarobkom socjalisty; dzieci przychodziły na świat co rok; niedostatek wyzierał z każdego kąta.

Karol Marks był człowiekiem kłótliwym, złośliwym, robiącym o byle co piekło w domu i tyranizującym swe dzieci. W dodatku ten wielki polityk nie umiał zupełnie politykować z ludźmi, narażając się na każdym kroku swym przyjaciołom.

Wychodząc też, zapewne, z założenia, że „co twoje — to moje, a co moje — tobie nie do tego“... pożyczając naprawo i lewo pieniądze, nie kwapiąc się nigdy z oddaniem. Pani Karolowa dokazywała zaiste cudów, aby jako tako utrzymać stosunki z ludźmi i ukryć nędzę i ciężki charakter małżonka przed sąsiadami.

Sterana wreszcie pracą po nad siły, nigdy nie doceniona i traktowana, jak służąca, umarła w ciężkich cierpieniach na raka, bolejąc na łożu śmierci, „że ukochany jej, a wielki Karol“ musiał cierpieć w życiu tyle braków i nie zabrał nigdy ani zupełnego dobrobytu, ani spokoju.

Czego nie zniesie kobieta — gdy kocha prawdziwie!

H. S.

IDEOWE BRATERSTWO KRESÓW FRANCUSKICH I KRESÓW POLSKICH.

Kongres kobiecy wschodnich kresów francuskich, który się odbył niedawno w Strasburgu pod przewodnictwem markizy de Loys - Chaudieux, stał się widownią pięknej manifestacji przyjaźni francusko - polskiej. W odpowiedzi na życzenia owocnej pracy, jakie obradującym przysłała znana i zasłużona działaczka górnośląska, senatorka Józefa Bramowska, o której obszerniej pisał „Bluszczy“ w numerze górnośląskim, — uczestniczki kongresu skierowały do niej adres, treści następującej:

„My, kobiety Alzacji, dziękujemy pani Bramowskiej za sympatję i rady, dyktowane jej długoletnim doświadczeniem. Nadeszły one właśnie w chwili, kiedy podjęliśmy wielki trud zespolenia wszystkich kobiet wschodnich kresów Francji w celu zdobycia praw cywilnych i politycznych kobiety. Obyśmy umiały, natchnione przykładem wielkiej Polki, walczyć niezachwianie za ojczyznę i równouprawnienie kobiet“.

„GRAND PRIX de ROME“ W DZIALE MUZYCZNYM OTRZYMAŁA KOBIEȘA.

Paryska Akademia Sztuk Pięknych przyznała w d. 3 lipca nagrodę konkursową „Grand Prix de Rome“ z działo kompozycji muzycznej 19-letniej Elzie Baraine, córce pierwszego wiolonczelisty z opery francuskiej. Młodzianka laureatka, mając lat 3, zaczęła się uczyć grać, a w ciągu ostatnich dwu lat skomponowała szereg utworów na organy, poemat symfoniczny, utwory chóralne na głosy kobiece z towarzyszeniem orkiestry i wiele utworów drobniejszych.

SPROSTOWANIE

W Nr. 23 „Bluszczy“ w dziale „Kobieta w świecie i w domu“ pomieściliśmy artykuł p. t.: „Świellice Koła Polek“ i „Historja o pięknej Jagnieszce“. W artykule tym, mówiąc o przedstawieniu, jakie praska Świellica Koła Polek urządziła w dniu 31 maja w sali teatru „Atenum“, zaznaczyliśmy, że „Historja o pięknej Jagnieszce“, odegrana przez młodzież świellicową, wyszła z pod pióra kierowniczkii świellic, p. Niemyskiej. Otóż obecnie pani Niemyska donosi nam, że nie jest autorką „Historji o pięknej Jagnieszce“, ale tylko autorką przeróbki scenicznej utworu, napisanego przez M. i L. Parolikomskich i wydanego przez „Bibliotekę Medycką“. Przeróbka została dokonana na prywatny użytek Świellicy i samo przedstawienie miało charakter namskroś prywatny, czego najlepszym dowodem jest fakt, żeśmy rozmiankę o niem podali nie w dziale „Z teatrów“, ale w dziale „Kobieta w świecie i w domu“, jako chlubny przykład społecznej i kulturalnej pracy świellic.

Wyższa Szkoła Pielęgniarek i Higienistek P. C. K. w Poznaniu przyjmuje zapisy na nowy kurs, który rozpocznie się we wrześniu r. b. Przyjmuje się tylko internistki z wykształceniem conajmniej 6 klas gimn. Prospekty wysyła na żądanie Dyrekcja Wyższej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek P. C. K. w Poznaniu: — Grottgera 5 — tel. 62-84.

PRZEMYSŁ I SZTUKA LUDOWA NA P. W. K. I JEJ ZASTOSOWANIE

Powszechna Wystawa Krajowa w Poznaniu dowodzi naocznie, że zainteresowanie przemysłem ludowym u nas stale wzrasta. Sztuka ludowa ześrodkowuje się w Pałacu Wychowania Fizycznego; pokaz ten jest zorganizowany przez komisarza Sztuki Ludowej z ramienia Reprezentacji Towarzystw Przemysłu Ludowego.

Poza głównym pawilonem, przepelnionym eksponatami o wysokim poziomie z punktu widzenia artystycznego i etnicznego, przemysł ludowy reprezentowany jest w małych dozach i w Pawilonie Pracy Kobiet, i u Ziemianek, a nawet w Pałacu Samorządowym. Co więcej, tkaniny ludowe z Wileńszczyzny i Nowogródzkiego użyte są, jako dekoracja Pałacu Sztuki i Pałacu Samorządowego.

To, co szeroka publiczność nazywa potocznie przemysłem ludowym i to, co nabywa w przeróżnych sklepach, najczęściej jest tylko sztuki ludowej naśladownictwem, lub kłamiwą stylizacją, która stała się u nas nagminnym i przykrym szablonem.

Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego, których mamy już dziesięć, dzięki akcji Ministerstwa Przemysłu i Handlu (w Warszawie, Wilnie, Nowogródku, Brześciu n/Bugiem, Białymstoku, Lublinie, Toruniu, Krakowie, Lwowie i Łucku), dbają o sztukę ludową i przemysł o charakterze etnicznym niefałszowanym i niestylizowanym. Sztuka ludowa w swej krynicznej czystości, niezamąconej przez przygodnych nauczycieli, jest niewyczerpaną skarbnicą twórczości oryginalnej, bujnej i samorodnej. W okresie zepsucia smaku, jakim był koniec wieku poprzedniego, ona jedna przechowała mądrość zdobniczą, polegającą na tem, że wzór nie jest rzeczą przypadkową, lecz logicznym wynikiem techniki i surowca: splotu nitek i warsztatu w tkactwie, kragłości kształtu tozonego w ceramice i t. p.

Im głębszą staje się kultura, tembardziej wzrasta szacunek twórczości ludowej, mądrej dziedzicznej, prawiekową tradycją i tem większy jest lęk przed uczeniem artystów ludowych i narzucaniem im jakichkolwiek wskazówek i wzorów.

To, co widzimy w pawilonie Reprezentacji Towarzystw Przemysłu Ludowego, jest właśnie tą sztuką ludową, czystą i nieskażoną.

Eksponaty są plonem wielkiej zbiórki, przeprowadzonej przy pomocy Funduszu Kultury Narodowej w roku bieżącym; zapoczątkują one muzealnictwo państwowe sztuki ludowej. Jest to rzecz nagląca, gdyż właśnie owa rasowa, tradycyjna twórczość zanika gwałtownie pod wpływem miasta.

Wystawa daje możliwość zaznajomienia się ze

wszystkimi odcieniami regionalnymi sztuki ludowej w Polsce, z twórczością Wileńszczyzny i Polesia, Huculszczyzny i Podhala, Nowosądeckiego i całych stron podkrakowskich, Kaszub, Wołynia i t. d. Eksponaty wystawowe nie obejmują jeszcze całości zakupów.

Stoiska regionalne są przeważnie plonem pracy miejscowych towarzystw przemysłu ludowego. Na wystawie przeważają i najbardziej rzucają się w oczy stroje i tkaniny.

Zarówno w literaturze etnograficznej od czasów Kolberga, jak i w muzealnictwie, daje się odczuwać w zakresie strojów ludowych wielka luka.

Podobno Departament Sztuki ma zamiar wydać albumy strojów ludowych; bardzo byłoby to na czasie dzisiaj, w epoce tworzenia się teatrów ludowych regionalnych.

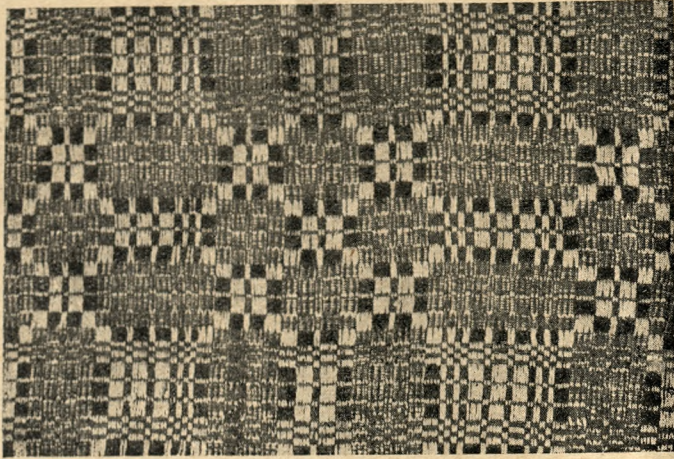
Mam wrażenie, że nie miejsce tu na fachowe etnograficzne traktaty; sądzę, że żadna kobieta nie przejdzie obojętnie wobec tego zadziwiającego bogactwa tkanin, garnków i haftów, nie licząc innych wyrobów; każda zastanowi się z wrodzonym sobie zmysłem praktyczności, czy nie dałoby się to zastosować w jej mieszkaniu.

Być może, wszystkie owe pyszności nie są dość przekonywująco podane; organizatorzy snąc byli zbyt dumni z eksponatów i wierzyli, że będą mówić same za siebie, aby starać się o ich wpadające w oko rozmieszczenie.

Niemniej jednak widzimy, że mamy w Polsce niebywałe bogactwo i różnorodność *tkanin dekoracyjnych*. Tkaniny lniane wileńskie, nowogródzkie, poleskie, dwubarwne o wzorach kostkowych, odznaczają się dyskretnością barw i ornamentu i dzięki temu harmonizują zarówno z meblami współczesnymi, jak nawet z antykami. Czyż nie jest najlepszą ich rekomendacją to, że dyr. Departamentu Sztuki, pionier Sztuki stosowanej w Polsce i znakomity artysta — Wojciech Jastrzębowski — ozdobił niemi Pałac Sztuki?



Ceramika kaszubska.



Tkaniny ludowe z Wileńszczyzny.

Łoża Prezydenta w Senacie i coraz więcej gmachów reprezentacyjnych stosuje te tkaniny, jako makaty i tapety (tańsze od papierowych). W mieszkaniu współczesnym znajdują one zastosowanie również, jako obicia mebli, przykrycia tapczanów, poduszki, serwety i t. d. Nie od rzeczy jest przypomnieć, że len jest bardzo odporny na ataki moli.

Pasiaki kurpiowskie o wąskich tęczach i najbardziej znane wełniaki łowickie (często już nawet nasładowane fabrycznie i farbowane krzyczącą aniliną) stosowane są, jako makatki, przykrycia, portjery, jakkolwiek te ostatnie często są nazbyt jaskrawe i krzyczące w otoczeniu mebli miejskich i nadają się raczej do letnisk i cottage'ów.

Huculskie liźniki, puszyste, wełniane koce, są bardzo ciepłe, dekoracyjne i praktyczne. Używane, jako koldry u ludu, jako dywany i przykrycia w mieście. Piękne „pierebory“ wołyńskie (odmiany pasów), tkaniny kurpiowskie i lubelskie mogą być stosowane także w mieszkaniu współczesnym.

Tkactwo dekoracyjne jest najbardziej rozwiniętą gałęzią przemysłu ludowego. Wszystkie Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego na pierwszym miejscu stawiają je w swoim programie. Bazary Przemysłu Ludowego, zorganizowane przez te towarzystwa, zarzucone są tym towarem, którego można wyprodukować niezliczone ilości i to za każdym razem różne, indywidualnie skomponowane.

To też wielką troską, zarówno rządu, jak i tych towarzystw, jest stworzenie zbytu dla tych tkanin tak pięknych, trwałych i niedrogich.

Rzeczą kobiet jest przełamanie szablonu i wprowadzenie tej nowej i praktycznej dekoracji u siebie w mieszkaniu. Tam tkanina będzie wykładnikiem ich kultury, ich smaku, a także poczucia obywatelskiego. zrozumienia potrzeby samowystarczalności gospodarczej, ekonomicznego podniesienia wsi.

Nie dotyczy to wreszcie tylko tkanin dekoracyjnych, ale i pięknych, wzorzystych, srebrzystych płócien na obrusy i serwety (len bielony z naturalnym).

Drugą poważną gałęzią przemysłu ludowego jest ceramika. Przypominając sobie piękne archaiczne kształty czarno - szarych garnków: *nomogródzkich, huculskich i białych poleskich*, wyobrażam sobie je, jak zdobią stoły i szafy, niczem jakieś wykopaliskowe urny. Białe, malowane dzbanki Bolimowskie, kaszubskie i pstre huculskie powinny wyprzeć tandetne flakony do kwiatów — ową fabryczną banalność. Nasze gosposie, dbające o stworzenie wzorowego gospodarstwa, powinny ozdobić kredensy i półki kuchenne pięknymi malowanymi miskami i dzbankami. Wszystko to kosztuje grosze; trzeba tylko wpaść na ten pomysł.

Stworzenie mody polskiej w stroju uważam do pewnego stopnia za utopję; natomiast zastosowanie drobiazgów sztuki ludowej, jak na przykład *haftów (huculskie, nomosądeckie, podhalańskie, wołyńskie)*, na torebki, koszule stylowe, tak dekoracyjne latem, poduszki; paciorkowych gierdanów huculskich i łowickich koralikowych mankietów, jako fantazyjnej biżuterji — mogłoby być powitane oklaskami i w Paryżu.

Inna rzecz, że oryginalne stroje ludowe noszone są dla propagandy; wkładała strój księżacki nie tylko Miss Polonia na balu w Operze paryskiej; uczone na międzynarodowym kongresie Sztuki Ludowej występowały w swoich ludowych haftach i samodziłach. Dlaczego nie mieć tej odwagi włożenia *serdaka lub kożuszka podhalańskiego czy huculskiego* podczas sportów zimowych? Jest to zarówno śliczne, jak i stosowne.

Nie mam już miejsca na wyliczanie wszystkich pięknych *rzeźb huculskich, koronek górnośląskich, koszyków kaszubskich z korzeni* i t. d. — zwiedzenie Bazarów Przemysłu Ludowego na P. W. K., w Warszawie (na Brackiej, na Tamce i w Bristolu), w Wilnie (narazie mniej bogate są bazary w Lublinie, Lwowie, Toruniu i Krakowie) — wystarczy za propagandę.

Jankowska - Oryżyna.

NAJWAŻNIEJSZY SPORT

W obecnej porze roku prawie w każdym numerze gazet znajdują się wzmianki o wypadkach zatonięcia: w większych miastach tonie po kilka osób codziennie, w małych osiedlach zdarza się to rzadziej, ale zato wtedy pada ofiarą po kilkoro i kilkanaścioro nieraz... Nikt jakoś nie interesuje się sposobami przeciwdziałania tym katastrofom, choć sposób jest taki prosty i wszystkim znany. Wszyscy u nas uważają to za rzecz zupełnie normalną: ot, jak zwyczajnie na świecie — ludzie jedzą, piją, śpią i topią się!

W 1923 r. w Polsce utonęło 1108 osób, a w całej pozatem Europie tylko 320. Bo w całej Europie nauka pływania jest tak samo obowiązkowa, jak nauka czytania i pisanie; u nas zaś zaniedbuje się ją zupełnie — nawet w ostatnich czasach, wskutek agitacji na rzecz innych, efektowniejszych niby, sportów, niechęć do nauki pływania stała się modną. Jeszcze przed laty 50-ciu, w gimnazjum na 600 uczniów powyżej 30-tu nie umiało pływać, a byli to przeważnie kaleki, lub chorzy; dziś naodwrot — pływa jakich 20-tu, reszta — nie. Przed kilku laty utonęło dwóch uczniów klas wyższych, w obecności kilkudziesięciu kolegów, biegających bezradnie z krzykiem po brzegu — i to w mizernym Wisłoku! gdyż z całej tej młodzieży nikt nie potrafił na wodzie się utrzymać...

Dawniej w Polsce, zwłaszcza między rycerstwem, pływanie było bardzo rozpowszechnione; dowodzi tego wyprawa Strusia przez Dniestr, przeprawa przez Berezynę 2 pp., czyny 4 pp. pod Ostrołęką — zaś w 1863 r. Siemiatycze, Piaski i Głanów. Jeszcze niedawno legjoniści nasi przepławiali się brawurowo wpraw przez Wisłę pod Korczynem, pod nieprzyjacielskim ogniem, a także nad Nidą podobnie urządzali wycieczki. Naodwrot, cały austriacki bataljon Kaufera, w czasie ofensywy Brusilowa, przyparty został do rzeki i wycięty w pień, z wyjątkiem kilkunastu, umiających pływać. Podobnych przykładów jest dosyć w historii wojen.

Lecz i w normalnym, codziennym życiu, sport pływacki nietylko w ratowaniu własnego, lub cudzego życia może mieć zastosowanie.

Przedewszystkiem jest niezmiernie zdrowy: żadne inne ćwiczenie nie działa równie silnie na rozwój mięśni wogóle, a specjalnie klatki piersiowej, płuc i oddechu — można sobie wyobrazić, jakie to może mieć znaczenie w walce z gruźlicą, tak zawsze u nas aktualnej. Pozatem pływanie wyrabia zręczność ruchów, czemu to, podobno, amerykanki zawdzięczają specjalną, płynną harmonję swego chodu i gestów, tak ogólnie podziwianą. Ruch w wodzie — jeśli już nawet pominąć jej radioaktywne nieraz działanie — przynosi korzyść podwójną, gdyż jest nietylko gimnastyką, ale i masażem i wskutek

tego ma nieporównane znaczenie kosmetyczne dla higieny i piękna skóry. Czyż kobiety, dbające w racjonalny sposób o swe ciało, nie powinnyby na to zwrócić specjalnej uwagi?

Dla młodzieży istnieje ponadto ważny wzgląd wychowawczy: wpływ moralny, jaki pływanie wywiera. Wyrabia ono odwagę, siłę woli — tam, gdzie trzeba nieraz prąd przeciąć, czy płynąć pod wodę, czy na krę się wydrapać — i samodzielność, bo na środku rwącej, szerokiej rzeki człowiek musi sam się orjentować, decydować szybko i tam się kierować, gdzie trzeba. Stąd to znana energja i dzielność Anglików, Bretończyków, Szwedów, Japończyków i innych narodów, świetnie pływających.

W dodatku nauka pływania nie jest trudna. Ciężar gatunkowy ciała ludzkiego wraz z głową równą się 1.0, ciężar samego ciała 0.93, zaś samej głowy 2.02. Wyraźniej: ciało, bez uciętej głowy pływa po wodzie, a sama głowa idzie na dno, jak kamień. Cała więc nauka pływania zasadza się na tem, by znaleźć linję wypadkową środka ciężkości między głową a ciałem i na tej linji się utrzymać zapomocą powolnych, lekkich, zgrabnych ruchów. To się nazywa zachować balans, czyli równowagę — rzecz niezmiernie ważnej wagi zawsze i wszędzie, nietylko w wodzie, ale w każdym środowisku i w życiu całym: tak dla jeźdźcy, by umiał do ruchu konia się dostosować, jak i w zarządzie państwa, w banku i ministerstwie finansów; w wagonie w czasie biegu pociągu, jak w stopie utrzymania domu, w obmyśleniu toalety i we wszelkich stosunkach z ludźmi... We wszystkim wogóle „balans“ jest pierwszą rzeczą i głównym warunkiem normalnego bytu — i w tej oto podstawowej zasadzie mamy jeszcze jeden czynnik kształcący.

Inne sporty do wydoskonalenia się wymagają kilku lat — dla nauki pływania i ratownictwa 30 godzin ogółem zupełnie wystarcza. Koszta są prawie żadne: cały przyrząd składa się z 8 słupków, deski i drażka, z uwiązaną na końcu szleją — razem jest to kwestja kilkunastu złotych — a najskromniejszy kostjum kąpielowy wystarczy. Jest to więc sport par excellence demokratyczny, niezmiernie łatwy do najszerzego rozpowszechnienia — takie rozpowszechnianie, w braku przymusu państwowego, byłoby dziś czynem obywatelskim i zasługą społeczną. Obecny sezon i szerokie rozrzucenie naszej inteligencji po letniskach daje do tego sposobność dogodną.

Przedewszystkiem uczmy się sami pływać, uczmy tego nasze dzieci i praktykujmy ten sport, gdzie to tylko jest możliwe! Następnie, uświadomiszmy lud okoliczny o ważności tej umiejętności, zachęcajmy do tworzenia skromnych szkół pływackich, na które każda gmina, a nawet wioska łatwo, przy dobrej chęci, zdobyć się może. Jeśli tylko jest na miejscu jakaś rzeczka, czy staw, to już tych parę

kołków dostarczą sami interesowani w naturze i odpowiednio powbijają — a wszędzie chyba znajdzie się jakiś eks-żołnierz, oficjalista, czy nauczyciel, który za skromną opłatą podejmie się nauki chłopaków. Z dziewczętami trudniej trochę, ale w wielu środowiskach i kobiecą siłę instruktorską możnaby znaleźć, jeśli się tylko poszuka i zachęci. Różne organizacje młodzieży wiejskiej i straże pożarne trzebają tą kwestją zainteresować — nieobojętną ona też być musi z natury rzeczy dla wszelkich zrzesseń Wychowania Fizycznego i Przynsposobienia Wojskowego.

Jeżeli w Ameryce, Australji i w całej zachodniej Europie są gęsto rozrzucone szkoły pływania, to dłączego jedna Polska ma mieć monopol na topienie swej ludności, zarówno hurtem, jak i na detal? Ta oryginalność zasługuje chyba na uwagę niedotopionych jeszcze jej obywateli, a także obywatelk, tak zawsze dbałych u nas o dobro publiczne. Niechże i one wezmą tę sprawę w swe dzielne, zabiegliwe ręce, zważywszy specjalnie, że tu zdrowie i życie młodego pokolenia w grę wchodzi!

Inż. Stefan Brykczyński,
por. Weteran z 1863 r.

UPRAWA TRUSKAWEK

I.

ZAKŁADANIE TRUSKAWCZARNI.

Najodpowiedniejszą porą do zakładania truskawczarni jest koniec lata. Wcześniej posadzone truskawki dają już wcale ładny zbiór na rok następny i dlatego radziłabym nie zwlekać z tą czynnością. Sadzić można jeszcze i do 15 września, ale im później sadzone będą rośliny, tem słabiej też w roku następnym plonują, wobec czego znika główna korzyść sadzenia letniego. Później, jak w pierwszej połowie września, sadzić truskawek niewarto, gdyż rośliny nie zdążą dobrze się zakorzenić i znaczna część może w zimie wymarznąć. Lepiej już w takim razie odłożyć sadzenie do wiosny.

Sadzenie wiosenne daje plon dopiero po roku. Wprawdzie truskawki zakwitną i dadzą owoce, ale słabo jeszcze zakorzenione rośliny wydają owoce drobne i niewiele. Wskazanem jest obcinanie łodyg kwiatowych, gdyż owocowanie osłabiłoby młode roślinki.

Truskawki, sadzone na wiosnę, dadzą plon dopiero na rok następny, ale ponieważ rośliny nie są wyczerpane przez owocowanie, a silnie rozwinięte, więc pierwszy plon jest bogaty i piękny.

Sadzimy zupełnie taksamo latem i wiosną — sadzenie jednak letnie ma to pierwszeństwo, że wcześniej otrzymamy owoce. Sadzenie wiosenne należy

wykonać jak najwcześniej, skoro tylko ziemia uprawiać się pozwala

Mając zamiar zakładać truskawczarnię w lecie, musimy wybrać odpowiedni teren. Najlepszym przedplonem byłyby wczesne ziemniaki, bo one zostawiają glebę czystą (niezachwaszczoną) i w doskonałej strukturze. Sadzić jednak truskawki możemy po grochu, na zielone strąki zbieranym, po cebuli z dymki, po wczesnej kapuście lub kalafjorach. W każdym bądź razie powinniśmy wybierać ziemię możliwie wolną od perzu, z którym w truskawczarniach walka jest niezmiernie trudna, gdyż rozlogów perzu z pomiędzy korzeni truskawek usunąć niepodobna i ograniczyć się trzeba do obrywania zielonych źdźbeł tego chwastu, co jest b. mało skuteczne.

Powinniśmy więc możliwie ziemię z chwastu tego oczyścić przed założeniem truskawczarni.

Bardzo dobrym sposobem jest wybieranie rozlogów perzu z każdej skiby ziemi. Robimy to w ten sposób, że ustawiamy ludzi z grabiami wzdłuż przestrzeni, którą mamy orać pod truskawki. Orać będziemy tylko w jedną stronę, a robotnice każdą skibę ziemi grabiami rozbijają i dokładnie wybierają perz.

Sposób ten jest dość kosztowny, ale dobry, jeżeli ziemia jest b. zaperzona. Stosować go jednak możemy tam tylko, gdzie gleba była silnie nawieziona obornikiem pod rośliny poprzedzające, np. wczesne ziemniaki, wczesną kapustę, kalafjory, kalarepkę itp.

Przed sadzeniem rozsypalibyśmy już tylko nawozy sztuczne w stosunku na 100 m²:

azotu 0,25 kg. = 1.15 kg. saletry chilijskiej 15,6 proc. kw. fosforowego 0,50 kg. = 3 kg. superfosfatu 17 proc. tlenku potasu 0,80 kg. = 3 kg. soli potasowej kałuskiej 27 proc.

Nawozy powyższe należy dobrze wymięszać i równomiernie rozsypać.

Jeżeli sadzić truskawki będziemy po cebuli lub grochu, należy przed oraniem (lub kopaniem) rozrzucić przetrawiony obornik. Najlepiej nadaje się do tego obornik z pod skrzyń inspektowych lub ze spodu gnojowni.

Zakładając truskawczarnię małą na własny użytek, zwłaszcza przy willach podmiejskich — wybrany na ten cel kawałek trzeba skopać (najlepiej widłami amerykańskimi) i dokładnie wybrać rozlogi perzu.

Sadzić truskawki możemy na zagonach, lub wprost w linje. Ten ostatni sposób jest obecnie więcej stosowany, jako znacznie praktyczniejszy, gdyż pozwala nam na częściowe obrabianie gleby narzędziami konnemi. Na zagonach sadzimy w 3 linje, dając odstępy między roślinami od 30 — 50 cm. Zagony, używane w ogrodnictwie, mają zwykle 1 m. 20 cm. szerokości, a zatem rzędy truskawek będą oddalone od siebie o 40 cm. o bruzdy 20 cm. (Bruzdy robimy szerokości 40 — 30 cm.).

Sadząc w ten sposób, musimy wszelkie pielenia

i spulchniania w przyszłości skuteczniczą rękami. Sposób ten jest dobry na małych przestrzeniach, gdzie sadzimy tylko na własny użytek, np. w ogródkach przy willach podmiejskich, lub przy szkołach powszechnych na wsi, gdzie chodzi o wyzyskanie miejsca.

Przy zakładaniu truskawczarni na większą skalę, to znaczy, traktując ją handlowo, należy zwrócić uwagę na rodzaj gleby. Na glebach lekkich (piaszczystych) sadzimy truskawki w płytke bruzdy (rys. 1-c). Na glebach ciężkich, zwięzłych (glinach ciężkich) sadzimy rośliny na równej płaszczyźnie (rys. 1-a). Na glebach średnich, — dobrze doprawionych ogrodowych ziemiach, lössach i t. p. — sadzimy truskawki na niewysokich (10 cm. wysokości) redlinach.

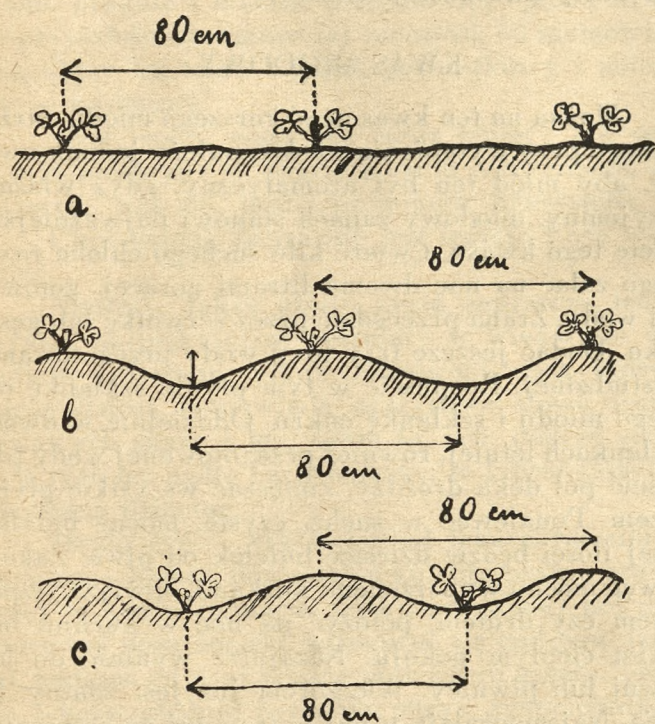


Fig. 1.

Co do ilości rozsady, potrzebnej na obsadzenie 1 ara (100 m²), informuje następująca tablica.

Odległość rzędów	Odległość roślin w rzędach	Ilość roślin potrzebna do obsadzenia 1 ara
70 cm.	25 cm.	571
	30 cm.	476
80 cm.	25 cm.	500
	30 cm.	417
90 cm.	25 cm.	444
	30 cm.	370

Szerokość przerw pomiędzy linjami zależna jest nie tylko od odmiany, ale też od tego, czy uprawa na przyszłość robiona będzie narzędziami konnymi, czy wyłącznie ręcznymi. Sadząc odmianę silnie rosnącą i do uprawy konnej, trzeba dać odległości większe —

80 cm. — 90 cm. Najwygodniejszym, podług mego zdania, będzie rozstawienie roślin 80 cm. × 30 cm.

Rozmnaża się truskawki z naturalnie zakorzeniających się rozłogów, czyli wąsów.

Rozłóg jest to cienka łodyżka, zakończona zgrubieniem, które od góry ma na sobie listek i pąk wzrostowy, a od dolnej strony piętke, z której przy zetknięciu się z ziemią wychodzą korzenie. Tworzy się zatem mała roślinka ukorzeniona, którą będziemy nazywali już teraz „rozsadą“ i którą użyjemy do założenia nowej truskawczarni. Poza tą pierwszą rośliną rozłóg przedłuża się i tworzy drugą, trzecią i t. d. Młode te rośliny, im dalej tworzą się od matecznej, tem są słabsze; tych więc, jako rozsady, używać nie będziemy. Zakorzenioną rozsadę wyjmujemy z ziemi, podważając ją łopatką lub motyką, i odcinamy od rozłogów. Można ją użyć zaraz do zakładania truskawczarni, lub zasadzić gęsto na grzędach (popikować) — jeżeli sadzić truskawki będziemy w końcu sierpnia, a rozsadę mamy gotową na początku tego miesiąca. Tak zasadzona rozsada może zostać na grzędach aż do wiosny i służyć wtedy do zakładania truskawczarni.

Przy sadzeniu skracamy zbyt długie korzonki, aby się nie zawijały. Rośliny sadzimy w dołek nieco skośny, płaskawy, zrobiony przez wepchnięcie ręki w ziemię. Taki dołek najlepszy jest do włożenia szerokiego korzenia. Korzenie ułożone są jakby na obwodzie półkola.

Sadzenie kolkiem (sadzakiem) jest znacznie gorsze ze względu na złe ułożenie korzeni, a także i dlatego, że najczęściej rośliny zostaną posadzone za głęboko — od czego truskawki, jako płytko zakorzeniające się rośliny, b. cierpią.

Obciskając korzenie, robimy wokół rośliny mały dołek, aby woda przy podlaniu lepiej się zatrzymywała. Jeżeli jest sucho, podlewamy rośliny parę razy po posadzeniu, aby prędzej przyjęły się i zakorzeniły — co ma miejsce po 10 dniach, do 2 tygodni.

Późniejsza hodowla polega już tylko na oczyszczaniu truskawczarni z zielska i usuwaniu rozłogów, które często jeszcze w jesieni ukazują się na świeżo zakorzenionych roślinach.

O prowadzeniu truskawczarni, o zbiorze owoców i pakowaniu ich pomówimy w swoim czasie.

Z. Wróblewska.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

PILAW Z BARANINY.

Osiemdziesiąt deka baraniny młodej i tłustej od mostka, górki lub forszlaku ugotować z trzema szklankami (trzy ćwierci litra) wody, z cebulą, pietruszką, marchewką, pieprzem, zielem i listkiem.

Szklanę najlepszego ryżu wrzucić na rozpuszczoną w rondlu łyżkę masła lub tłuszczu, zebranego z baraniego rosołu. Smażyć ten ryż, lekko od dna mierzając, aż nabierze blado-żółtej barwy; wtedy zalać go całym rosółem, osolić do smaku, wymieszać dobrze i wstawić w piec na pół godziny. Dojdzie w taki sposób doskonale, pozostanie sypki i ziarnisty. Baraninę pokrajać w spore kawałki, odrzucając kości. Foremkę ogniotrwałą wysmarować masłem lub podlać paru łyżkami tłustego rosołu, ułożyć w niej warstwami ryż i mięso. Posypać grubą warstwą ostrego, tartego sera i wstawić jeszcze na minut dziesięć do bardzo gorącego pieca, aby się ser rozpuścił i uformował smaczną, chrupiącą skorupkę. Podawać bardzo gorące w tem samym naczyniu. Kto chce, może do tego podać sos pomidorowy lub biały z koperkiem; w takim razie należy gotować od razu więcej rosołu i dwie szklanki tego rosołu zarezerwować na sos.

KAPUSTA NADZIEWANA KIELBASA

Sporą główkę młodej, letniej kapusty (półtora kilo) sparzyć wrzątkiem, potrzymać w nim minut kilka, aż się da podzielić na listki, pozostawiając jednak te listki przy łodydze. Czterdzieści deka serdowej kielbasy obrać ze skórki i posiekać drobno. Szklanę ryżu, ugotować na sypko, zmieszać z kielbasą, z przesmażoną w maśle cebulą, osolić, popieprzyć. Nadziać tem kapustę, rozsmarowując cienko na listkach i składając je napowrót w całość. Gdy wszystek farsz wyjdzie, związać główkę miękkimi niemi. Włożyć w rondel na rozpuszczoną łyżkę masła i dusić wolniutko, podlewając rosółem lub wodą, aż kapusta zupełnie zmięknie (trzydzieści minut do trzech kwadransy). Wyłożyć na półmisek, nitki zdjąć, pokrajać na osiem do dziesięciu części — jak pomarańczę. Na smaku, który się z kapusty wydusił, zrobić sos pomidorowy lub śmietanowy i podać oddzielnie w sosjerce.

MLECZKO WANILJOWE

Ile filiżanek dobrego, niezbieranego mleka, tyle dużych, świeżych jaj i dwa razy tyle łyżek cukru. Mleko zagotować ze sporym kawałkiem wanilji. Jaja całe ubić mocno z cukrem, zmieszać dokładnie z mlekiem, dodając mleka potrochu, aby się jaja nie zwały. Filiżanki wysmarować masłem, ponalewać je mleczkiem — niepełno, aby przy gotowaniu nie wykopiało. Ustawić filiżanki na brytfannie. Nalać wody do połowy wysokości filiżanek. Wstawić pod blachę. Gdy się mleczko ładnie zarumieni, próbować ostrożnie nożem. Jeżeli się dobrze ścięło, wyjąć z pieca i podawać na gorąco lub na zimno. Można na każdej filiżance położyć po łyżeczce galaretki porzeczkowej lub innej kwaskowej konfitury.

KWAS MIODOWY

Można na ten kwas użyć gorszego miodu, otrzymanego przy wytapieniu wosku; należy jednak uważać, aby miód ten był aromatyczny, gdyż właśnie przyjemny, miodowy zapach stanowi najważniejszą zaletę tego kwasu. Ćwierć kilo suchego chleba razowego zalać na noc dwoma litrami gorącej, gotowanej wody. Zrana precedzić przez serwetkę lub gęste sitko. Dodać jeszcze trzy litry wody przegotowanej i ostudzonej. Rozpuścić w tym płynie szklanę dobrego miodu i szklanę cukru. Oddzielnie w dwóch szklankach letniej, również przegotowanej wody rozpuścić pół deka drożdży. Zmieszać wszystkie płyny razem. Ponalewać w suche, czyste, mocne butelki. Z tej ilości będzie dziesięć butelek od piwa. Zakorkować mocno wyparzonemi korkami, obwiązać szpagatem czy drutem, położyć na noc w kuchni, lub jakim ciepłym pokoju. Nazajutrz wynieść do lodowni lub piwnicy. Wieczorem już jest zdatny do picia. Najsmaczniejszy jest w trzy dni po zrobieniu. Ostrożnie otwierać butelki, gdyż mocno musuje i może cały wyskoczyć, zanim się go w szklanki naleje.

Pani Elżbieta.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
APTEKA A. GAŚCECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

HEMOROIDY, CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWAWIENIE. ZMIĘKSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY — APTEKA A. GAŚCECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr.,
rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.
Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18

Nasza Mównica

W palącej sprawie.

Życie współczesne wypisało na swych sztandarach pełne wysoce humanitarnych idei hasła.

Obchodzimy nieznanie dawniej święta, których myślą przewodnią jest uznanie duchowego dostojęstwa w krzywdzonej i zapoznanej dotychczas kobiecie-matce, w słabem, bezbronem jej pisklęciu, które tak długo pozostawało na łasce losu. Człowiek bronić pragnie i otaczać pieczołowitą opieką dziecko-przyszłość od samego jej z początku, od niemowlęctwa. Dąży ku temu wysiłek jednostkowy i zbiorowy — społeczny.

„Jest lepiej, musi być coraz lepiej“, tak woła opinia publiczna w prasie i życiu codziennem, budującym, zda się, jasną, promienną przyszłość.

Czyż jednak naprawdę jest lepiej? I czy wszędzie?

Niestety, jakże często życie zaprzecza teorii, czyniąc najpiękniejsze postulaty w większości wypadków frazesami tylko! Frazesami, obok których rzeczywistość wypowiada zgrzytliwe słowa ironji, krwawych skarg i łez. Znam to, och, dobrze znam. Tyle tych łez padło na trumienkę, w której złożyłam ukochaną dziecinę.

Mogła żyć — tak twierdził lekarz. Skosiła ją bezlitosna śmierć, ponieważ u kolebki brakło czuwającej w każdej minucie matki, zmuszonej pół dnia pracować poza domem, zajmować się cudzemi dziećmi, podczas gdy jej własne maleństwo ginęło. Twardo i bezwzględnie brzmiały słowa zwierzchników, odpierające gorącą, przepojoną łzami prośbę o zwolnienie na kilka dni — o urlop: „dziecko dzieckiem, a szkoła szkołą. Szkoła nie może tracić, dlatego, że córka pani chora“! Oto jaka odpowiedź dana była kategorycznie, bez względu na to, że pracować wartościowo w podobnych warunkach, gdy cała istota rwie się do łoża chorego dziecka, czyż można?

I umarło, padło ofiarą obowiązków zawodowych matki, zmuszonej liczyć się z władzą, bo pracującej na pozostałe dzieci.

„Najcenniejszym skarbem każdego człowieka, a zwłaszcza kobiety, jest dziecko. Z drugiej strony jest ono własnością ogółu“.

Te dwa zdania, wyczytane w Nr. 21 „Bluszczu“, już po pogrzebie mojej córeczki, mają dla mnie gorzki nigdy nieobeschłych łez i palą, jak krwawa, codzien przypomnieniem rozrywana, rana. Właśnie wtedy, kiedy zmuszam się do pracy, nietylko chlebodawczej, lecz i ulubionej, którą drogo, tak drogo okupiłam. I myślę wtedy o innych matkach — na tę

samą tragedję narażonych — wiem przecież, że nie jestem wyjątkiem!

Czytam dyskusję, prowadzoną obecnie w „Bluszczu“ nad zagadnieniem, czy kobieta-matka ma, lub nie ma pracować zawodowo. Myślę, że wszystkie panie, piszące na ten temat, mają rację — każda swoją. Mają słuszność te, które twierdzą, że nie można kobiecie odmawiać prawa do pracy, którą wybrała i może ukochała, i że żadna praca, zaczęta z zamiarem przerwania jej, z chwilą przyjścia na świat dziecka, nie może być pracą poważną i poważnie traktowaną przez nikogo nie będzie. A z drugiej strony jakąż życiową, realną, bolesną rację mają te czytelniczki, które, jak Częstochowianka, mówią, że dzieci często, ach jakże często, padają ofiarą pracy zawodowej matek, ofiarą w mniejszym lub większym stopniu, aż do największego — okrutnej śmierci!

I myślę, że coś na to poradzić można, poradzić trzeba. Jeżeli możliwem stało się w prawodawstwie ustanowienie ochrony macierzyństwa — danie urlopu matce pracującej w ostatnich tygodniach ciąży i pierwszych po urodzeniu dziecka, urlopu tak przecieź długiego — to również możliwe byłoby ustanowienie dla niej krótszego zwolnienia w razie ciężkiej, niebezpiecznej choroby dziecka. Tylu jest bezrobotnych wśród inteligencji. Iluż to w nauczycielstwie np. mamy zawsze młodych kandydatów, czekających na posadę, gotowych w każdej chwili do wzięcia wszędzie zastępstwa, w innych zawodach tak samo. Chodzi o to tylko, aby taka uchwała weszła w życie. Może się ona wydawać trudną, ale lat temu 50 napewno równie niemożliwą wydawała się (dla pracodawców zwłaszcza!) dzisiejsza ochrona macierzyństwa, a jednak dziś ona jest i ratuje tyśiące istnień. Taka ustawa nie zapobiegnie wszystkim trudom i wadom wychowania dla pracujących matek, ale zapobiegnie przynajmniej najtragicznij-szym katastrofom.

Siostry-posłanki, do Was się zwracam, walczyć w Sejmie o tę ochronę życia naszych dzieci. Koszta jej opłacą się stokrotnie, bo zwrócą je Polsce jej zdrowi i dzielni obywatele.

A. Z.

O starości.

Jeżeli „Mównica“ — toć chyba pięcioprzymiotnikowo mówić wolno... Na tej zasadzie ośmielam się wypisać tu mój protest przeciwko zniesławianiu sta-

rości, skazaniu jej na banicję, przeciwko zapoznawaniu jej stron dodatnich.

Bo starość ma i dodatnie strony, których zaprzeczenie przypisać chyba należy niedotarciom rzetelnej emancypacji kobiety do dna niewieściej jaźni.

Tak. Pomimo, że studjujemy na wyższych uczelniach, piastujemy urzędy, pracujemy zarobkowo i odpowiedzialnie — niecałkiem jeszcze przejęliśmy się własnym dostojeństwem niezależnego umysłowo, materialnie i duchowo *człowieka*. Wciąż w psychice naszej, niewieściej, pokutuje pokorne przeświadczenie o kobiecie, stworzonej z Adamowego żebra — temuż Adamowi na użytek... I tyle tylko przyznajemy sobie w głębi ducha wartości, ile jej nam On przyznać raczy. Kobieta stara niepodoba się — wychodzi po za obręb — powiedzmy śmiało: miłości i... przestaje istnieć.

Kobieta boi się, jak ognia, starości, nie ze względu na zmniejszenie fizycznych sił (słabością kokietowało się przez szereg lat ubiegłego stulecia!). Nie zawsze boi się też tak bardzo o swoją sprawność w pracy, — boi się przede wszystkim wydziedziczenia z obrębu miłości.

Wyjątkom — cześć! Ale że wogóle tak się rzecz ma, chyba nikt nie zaprzeczy.

Jednak, pomimo wszelkich wysiłków, zaiste mężeńskich nieraz i fizycznie i duchowo, starość da się zamaskować, da się odsunąć o X lat, ale znieść całkiem się nie da! Czyż zatem nie roztropniej byłoby, wypowiadając, i owszem, wojnę ujemnym objawom starości, walcząc o zdrowie, o rzeźkość ciała i umysłu, co bezsprzecznie da się zachować do późnych lat, — jednocześnie i tej konieczności życiowej śmiało spojrzeć w oczy. Zamiast hasła: *nie starzeć się!* wziąć sobie inne: *starzeć się mądrze i w porę*.

Zestarzeć się, to znaczy rzec się dobrowolnie już przeżytej epoki miłości egotycznej i macierzyństwa osobistego, aby, uwolniwszy się od tej przemocy południowych żarów, podnieść się duchowo wzwyż i odnaleźć inne kręgi szczęścia i zadowolenia, dotąd niedostępne. Natura nie znosi próżni — i to nietylko materialnej, — gdzie jedno obumiera, tam drugie, jak ruń, wschodzi — a więc przez lenistwo psychiczne, przez brak autokrytycyzmu, przez inercję nie trzymajmy się kurczowo — trupa!

Istniejemy — zdajmy sobie z tego sprawę — same dla siebie, nietylko dla mężczyzny. Cały długi, X dziesięcioleci trwający, okres życia żyjemy, prawda, pod znakiem miłości; kochamy i jesteśmy kochane, cierpimy i przeżywamy wniebowzięcia; idziemy za mężem, chowamy dzieci, to jest normalne. Niektórzy twierdzą, że daje deficyt w rubryce szczęścia osobnika. Być może, ale tak już być musi, dla olbrzymiej większości z pomiędzy ludzi.

Mężczyzna zresztą również podlega tej przemocy, tylko u niego ma to przebieg raczej powrotny, nadchodzącej i cofającej się fali, i nie zalewa sobą całego widnokręgu na stałe, jak to ma miejsce u bardzo wielu kobiet.

Za to jednak kobieta, po przejściu menopozy,

jest fizjologicznie zupełnie poza obrębem życia płciowego i tu dla niej mogłaby się zacząć właśnie najbliżosławiejsza epoka dożynekowa, gdyby nie jej znalógowanie w kierunku tego, co już przeminęło bezpowrotnie.

Kobieta wpatrzona w to, co „utraciła“, nie widzi nowych możliwości, nie wyczuwa własnego wyzwolenia w pogoni nadaremnej za „przeszłością“ marnuje terazniejszość i przyszłość.

Sądzę, że prawdziwie wyemancypowany człowiek - kobieta dojść jednak musi do ocenienia swego niezależnego bytu, musi nauczyć się radości jesiennej swojego życia, które, ogarnięte dostojnym a zgoła nie gorzkim spokojem, stanie się czarem duchowego i umysłowego wtórnego rozkwitu. Nie z rozpaczą, nie z goryczą upokorzenia czepiać się ona będzie odchodzącej miłości, goniąc za nią wspomnieniem, kradnąc z obrębu cudzych przeżyć, tylko radośnie przywita nowych przybyszy: spokój, przyjaźń, syntezę i mądrość doświadczenia.

W takim usposobieniu ujemne cechy starości, jej zgryźliwość, zawiść, rozgoryczenie i sobkostwo muszą ustąpić cechom skrajnie przeciwnym i kobieta sędziwa budzić będzie uczucia, sprawiedliwie dziś jej należne — czci i wdzięczności. Piękna, pogodna starość będzie owocem pięknego okwitu życia.

M. B. z lubelskiego.

Trzeba o tem pomyśleć.

Kwestja, nad którą pragnę się zastanowić, nie jest wyłącznie sprawą materialną: posiadając niejako dwie płaszczyzny, w sposób, zgoła niebanalny łączy właśnie dziedzinę materialną — kwestję łaknienia — z dziedziną ducha, z zagadnieniem etyki.

Niech to, o czym chcę mówić, stanie się wielkiem przez swą prostotę, śmiałem... przez nieśmiałość, z jaką pewne prawdy wygłaszać trzeba; niech znajdzie posłuch przez siłę sprzeciwu, ugruntowaną w nas przyzwyczajeniem codzienności.

Chcę mówić o... stosunku naszym do zwierząt, zwrócić uwagę na podobieństwo między nami a pokrewnym nam światem tych istot zachodzące, a na podstawie tego rozpatrzenia rzucić pytanie, czy mamy prawo (niby usankcjonowane od wieków) posługiwania się ich ciałem i krwią, dla przedłużenia, czy utrzymania naszego istnienia?

Jeżeli podjęłam się akcji czynnej na tym osobliwym terenie, to tylko dlatego, że, o ile mi wiadomo, nikt dotąd u nas do danego tematu nie przystąpił. Moja interwencja w powyższym wypadku podobną jest do spontanicznego czynu przechodnia, który podnosi szlachetny kamień, leżący na drodze, a niezbyt widoczny dla oczu ludzkich, wskutek narastania na nim piasku lub brudu, niemniej jednak wartościowy.

Jestem zgóry przekonana, że wśród wielotyśięcznego pogłowia ludzkiego znalazłyby się jednostki, lepiej, dokładniej naukowo do tego przygotowa-

ne. Jednak... cisza, dotąd panująca w tej dziedzinie, może trwać długo, bo człowiek, jako istota bezwzględnie samolubna, w imię wygody i spokoju, będzie unikał celowo zastanowienia się nad tą sprawą, pochłaniającą stale miliony pokrewnych mu istot.

Bądźmy jednak sprawiedliwi i starajmy się o ocenę faktów, możliwie wyczerpującą. Cisza na terenie wyżej wymienionych zjawisk, obok których przechodzimy tak obojętnie, może być spowodowana nie tylko samolubnym podłożem natury ludzkiej: troski życiowe, zmaganie się każdego osobnika z wszelakimi utrapieniami sprawiają, że wśród wysiłku, na jaki zdobywać się musi każdy z nas, by utrzymać się na powierzchni życia — niema miejsca na kontemplację, zastanawianie się, jednym słowem, na refleksję.

Nurt życia, coraz bardziej powierzchowny, porywa nas, pomimo naszej woli i chęci. W tym rozpędzie raz wraz mijamy słupy graniczne oczywistych prawd, na które nie mogą paść oczy, pochłonięte wypatrywaniem na horyzoncie czasu rzeczy nieodzownych, spraw dnia, niecierpiących zwłoki, spraw, objętych sferą zmysłów, ściśle materialnego gatunku.

Zdarza się wielokrotnie, że przypadek bywa odzwierciedlającym uchylającym wrota do przybytku jakiejś prawdy, której widokiem bywamy olśnieni, częstokroć nieprzygotowani na jej przyjęcie, bezradni wobec jej piękna lub prostoty, a zagniewani na siebie i na oczywistość, która tak rzadko ukazuje nam swe właściwe oblicze.

Wielce prawdopodobną jest rzeczą, że odbiegłszy tak dawno i na tak daleki dystans od przyrody, zatraciliśmy ów wzrok wewnętrzny, którym szczylił się człowiek w mrokach zamierzchłych stuleci; wszelkie wysiłki ludzkości, w celu zbliżenia się teraz do natury, muszą być siłą rzeczy błędzeniem po omacku, bolesnym często wwiadywaniem się w siebie, podświadomą tęsknotą do bujnego państwa, które opuściliśmy dobrowolnie. „Człowieku, imię twoje ziemia! Z ziemi ciało twoje, choć z czterech stron świata przyniesionej“ — woła jeden z myślicieli. A dalej: „Wierzyłem, wierzę i wierzyć będę w powinowactwo natury anorganicznej z organiczną, w związku i powinowactwa kamieni, metali z istotami rozmyślającymi, a bardziej jeszcze — dumającymi“.

Niezaprzeczoną jest związek ścisły człowieka z przyrodą, a linja jej rozwoju — to proces jednolity. Niema przepaści między materją ożywioną i nieożywioną. Przyroda logicznie, drogą procesu ewolucyjnego, dąży do refleksji, do samopoznania się w człowieku. Jest on zatem syntezą, szczytowym okazem pracy wieków, skondensowaną myślą przyrodzenia.

„Długi szereg jestestw oddziela głaz od rozumnego człowieka, ale całą przestrzeń jedna linja przebiega“. Schelling twierdzi, że między „tem, co jest i że jest, nie wie, a tem, co jest i wie, że jest“ — zachodzi ścisły związek. Natura przez stopnie pośrednie przechodzi od martwej materji do pojęcia,

do punktu, z którego pojmuje swoje działanie. Człowiek jest skondensowaną myślą przyrodzenia.

Gdybyśmy chcieli i mogli częściej o tem pamiętać, uświadamiać sobie ów związek nierozzerwalny, doszlibyśmy do ciekawych uogólnień rozumowych, a co ważniejsze, wyłoniłybyśmy ze siebie potężną falę uczucia, któraby ogarnęła, niby miłujące ramiona, świat widzialny i niewidzialny jeszcze dla oka, jednak przeczuwany.

Jakkolwiek człowiek jest, jak nadmieniałam, szczytowym okazem pracy wieków, nie znaczy to jednak, aby tak wysoki stopień wyniesienia ponad wszystko uprawniał go do stanowiska, jakie zajął pośród otaczającego go świata przyrody żywej.

W triumfalnym, samolubnym pochodzie naprzód brutalne stopy człowieka miażdżą, tratuja, unicestwiają, rzeczy, niby nieożywione duchem, istoty czujące, podporządkowane tym samym prawom materji: prawu narodzin i bolesnej śmierci.

Tu należy zastanowić się, czy różnica między temi, „co są, a że są, nie wiedzą“ i tymi, „co są, a że są, wiedzą“ jest istotnie tak znaczna? Badania uczonych wszechświatowej sławy, od wielu lat przedsiębrane w kierunku zniwelowania tej przepaści, zasługują na uwagę i mówią same za siebie.

Szerokie pole badań w tym kierunku przedstawia psyche zwierząt.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wzruszenia, które obserwujemy u zwierząt, to odrazu rzuca się nam w oczy fakt, że pole psychologiczne, które te wzruszenia obejmują, pokrywa prawie zupełnie pole psychologiczne, zajęte przez zdolności emocjonalne człowieka.

Życie uczuciowe zwierząt jest tak uderzająco podobne do życia uczuciowego człowieka, zwłaszcza życia emocjonalnego dzieci, że ta zgodność może być uważana, jako dowód ich genetycznej ciągłości.

To samo ma się z instynktem. U człowieka, zwłaszcza w epoce dzieciństwa, objawiają się charakterystyczne instynkty, mające na celu pożywienie i samoobronę. Wiemy aż nadto dobrze, że odpowiednie instynkty są również przynależnością zwierząt niższych. Jakkolwiek w psychologii wielu zwierząt instynkt odgrywa większą rolę, niż w życiu duchowym człowieka, to jednak fakt ten nie ma znaczenia dla powyższej kwestji, gdzie chodzi o tożsamość zasad.

A zdolności rozumu? Oczywiście jest różnica pomiędzy temi zdolnościami w obu dziedzinach ducha, jednak nie jest ona gatunkowo tak dalece inną.

Zasługuje na uwagę twierdzenie jednego z uczonych, padające nakształt ciężkiego kamienia w nasze samolubstwo: „Jeżeli jakiś rodzaj bytu wznosi się do wyższych stopni, to taka ewolucja odbywa się na podwalinie, położonej przez poprzedni stopień rozwoju“.

Jeżeli więc nowe zdolności człowieka zawdzięczają swój początek procesowi rozwoju, to czyż błędem będzie przypuszczenie, że w miarę stopniowego kultywowania zdolności zwierząt, dałoby się osiągnąć u nich te same rezultaty“. Wiemy również —

według Mivart'a — że zwierzęta, zapomocą bardzo skomplikowanych czynności, dążą do celów wytkniętych; że korzystają z doświadczeń oraz spostrzeżeń poprzednich; że wyprowadzają wnioski praktyczne i t. d.

Jeżeli więc wyrazu „rozum“ użyjemy w znaczeniu właściwym, to możemy twierdzić, że dusza zwierzęcia w dużym stopniu zdolną jest do rozumowania.

Niemalą przeszkodą do zgłębienia duszy zwierząt był dotąd brak sposobu porozumiewania się z nimi, aczkolwiek i ten szkopuł wkrótce (co do niektórych gatunków) da się usunąć, dzięki zastosowaniu specjalnego alfabetu, wystukiwanego przez wyszkolone w tym kierunku zwierzęta. Doświadczenia, poczynione zagranicą, dały rezultaty zadziwiające.

Stosowanie tych sposobów na szerszą skalę w jakim to tajemniczy świat odczuć i myśli nas wprowadzi? Czegóż bo dowiemy się o sobie z „ust“ milczących dotąd współtowarzyszy? Czy oskarżenia, ciężkie, jak grom, staną się naszym udziałem? czy zawstydzą nas (jak zresztą wielokrotnie zawstydzają i dzisiaj) wrodzoną a subtelną szlachetnością uczuć i... postępków?

— — — — —
Nie jest zadaniem niniejszej, może przydługiej korespondencji, naukowe, rzeczowe zgłębienie tematu, bowiem sięgnąćby należało do źródeł, powołać się na poglądy licznych uczonych, jak: Mivart, Huxley, Wallace, Lock i innych. Osoby, interesujące się tem zagadnieniem, znajdą napewno odpowiednie dzieła, traktujące o przedmiocie wyczerpująco.

Mojem założeniem była chęć obudzenia czujności kobiet, chęć złożenia w ich miłujące dłonie sprawy tych, o których nikt prawie nie myśli.

Celem niniejszej korespondencji jest również zapoczątkowanie wymiany myśli na powyższy temat na łamach „Mównicy“, cierpliwej a chętnej zawsze do wysłuchania wszelakich głosów, domagających się wysłuchania.

W wielu już środowiskach i krajach rozwija się energicznie propaganda jarstwa, jako systemu poszanowania życia istot świata zwierzęcego, a zarazem nowej higjeny odżywiania. Warto, doprawdy, zastanowić się poważnie nad tą sprawą i przedyskutować ją. To też zwracam się z tem do Sz. Czytelniczek „Bluszczu“, w nadziei, że głos mój nie przebrzmi bez echa.

Kobieta polska wreszcie, jak każda inna pani domu, dla której kwestje kulinarne nie mogą być obojętne, musi zainteresować się sprawą ustosunkowania się swego do zwierząt, których ciałem odżywiają się codziennie ona sama i jej najbliżsi.

Nie będzie może paradoksem twierdzenie, że z wnętrza domowego kobiety, z jej rąk ofiarnych przyjsć winno wyzwolenie dla naszych młodszych „braci“.

Marja Stagińska — Łódź.

Bóg zapłać.

Niezmiernie się ucieszyłam i jestem bezgranicznie wdzięczna wszystkim paniom, które w mem ciężkiem położeniu dodają mi otuchy. Są jeszcze znaczne serca, które współczują i starają się pomóc mi w nieszczęściu.

Z powodu trudnego położenia, zmuszona byłam z bólem serca, chwilowo rozstać się z dziećmi. Cierpię nad tem niewymownie. Najgorętszem mojem pragnieniem jest otrzymać posadę, abym mogła mieć dzieci przy sobie i pracować na ich utrzymanie. Są chwile, gdy ból i rozpacz wpełzają mi do duszy, wtenczas ślę gorące prośby do Stwórcy Niebios, aby dodał mi sił do dalszej walki z życiem.

Panu, który napisał dla mnie artykuł o hodowli pieczarek, serdecznie dziękuję. Jednak narazie korzystać z jego rad nie mogę, gdyż nie mam do tego odpowiednich warunków. W przyszłości będę się starała zastosować do cennych wskazówek.

Wszystkim Kochanym Paniom za wyrazy serdecznego współczucia, składam tą drogą staropolskie „Bóg zapłać“!

Mar-Mil.

Czy tak być powinno?

Pragnę podać do wiadomości pań, czytelniczek „Bluszczu“ niektóre zwyczaje, panujące na głębokiej prowincji; czy wszędzie — nie wiem, podaję więc tylko fakty, które miały miejsce w Wieluniu.

Jak pycha męska i dążenie mężczyzn do ujarzmania kobiet pod każdym względem, w szczególności pod względem moralnym, są głęboko zakorzenione, niech zaświadczy następujące wydarzenie. Otóż wiadomem jest czytelniczkom, jak wogóle wszystkim, że nowe prawo kościelne wykreśla z przysięgi ślubnej kobiety posłuszeństwo małżeńskie. Jednak w Wieluniu księża nie uznają tego rozporządzenia i w dalszym ciągu zmuszają, zaznaczam, *zmuszają* kobiety do przysięgania posłuszeństwa, co miało miejsce i ze mną.

Dnia 29.VI r. b. brałam ślub w Wieluniu w kościele parafjalnym; ponieważ ks. kanonik był nieobecny, ślub dawał przeor Ojców Misjonarzy, który zmusił mnie do przysięgi posłuszeństwa. Nie chciałam robić awantury w kościele i uległam, kiedy trzykrotnie wymawiał słowa przysięgi, zmuszając mnie do powtórzenia.

Nie chodzi o tę przysięgę, gdyż kochając męża, nie myśli się o tem, lecz idzie o sam fakt: mężczyzna, nawet duchowny, jest przekonania, iż kobieta powinna być niewolnicą męża.

Sądzę, że panie czytelniczki „Bluszczu“ odczuwają takie samo oburzenie na powyższy fakt, jak i ja, ośmielam się więc skreślić te kilka słów do „Mównicy“ i podać do wiadomości, jakie stosunki panują na prowincji.

S. Ch. — Wieluń